

MATEUSZ FOGT



FAŁSZYWA KRÓLOWA

BookEdit

MATEUSZ FOGT

———— ZWIASTUN ————

FAŁSZYWA KRÓLOWA

BookEdit

[Kup książkę](#)

Copyright © Mateusz Fogt, 2024

Ilustracja na okładce: © Karolina Kwiatkowska

Typografia na okładce: Dawid Duszka

Redakcja: Magdalena Ceglarz

Korekta: ERATO

e-book: JENA

ISBN 978-83-68032-25-3

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

[Kup książkę](#)

I. Joseph

Każdy w coś wierzy.

Niezależnie od pochodzenia, płci czy poglądów każdy ma swój zbiór wierzeń religijnych lub świeckich. Niektórzy wierzą w niewidzialną siłę, która kieruje każdym ich krokiem, inni wolą wierzyć, że są kowalami własnego losu.

Nie jest istotne, po której stronie się opowiadamy, dopóki jesteśmy w stanie wskazać swe autorytety, które, zgodnie z naszymi wierzeniami, pokazują nam różnicę między tym, co dobre, prawe i uczciwe, a tym, co zgniłe i niemoralne.

To właśnie wiara czyni nas tym, czym jesteśmy. Być może to ona tworzy naszą świadomość i sprawia, że dążymy do czegoś więcej niż tylko prymitywnej potrzeby przetrwania swojego i potomków.

Czymże bowiem jest życie, jeśli nie zbiorem doświadczeń i wierzeń, które kształtują osobę? Osobę, która z radością dzieli się swoim bytem z innymi, dostarczając im swoje spojrzenie na świat, kształtując w ten sposób, niczym kowal, świeże ostrze, istotę o zbliżonych wartościach.

Niektórzy tworzą morderców, inni bohaterów. Tkwimy w kręgu rozpoczętym dawno, dawno temu, przed pierwszymi ludźmi, smokami i bogami, kiedy to pierwsza istota nadała czemuś wartość i przekonała innych, że to jest prawda.

Każdy w coś wierzy, każdy szuka prawdy, mającej nadać sens bezsensowi.

Lecz co, jeśli wszystko, w co wierzyłeś, okazało się kłamstwem? Jeśli jesteś zbiorem doświadczeń, które powstały z wiary w kłamstwo, to czy

oznacza to, że twoje życie również nim było? Czy każda twoja decyzja była zafałszowana, ponieważ podwalinami twojego światopoglądu, twojej moralności było kłamstwo?

Tego typu pytania krążyły w jego głowie, gdy przyglądał się otwartemu sarkofagowi owitemu w pajęczyny tak gęste, że z pewnością stworzyły je gigantyczne pająki.

Stał tak, zupełnie nieruchomy, szukając wyjaśnienia, próbując zrozumieć, jak to możliwe, że widzi przed sobą ciało tego, którego miało tu nie być. Tego, za którego walczył, w imię którego mógł oddać życie, bo wierzył, że go tu nie ma.

Nie powinno go tu być.

Zbawca pojawił się setki lat wcześniej. Uratował świat przed zagładą z rąk nieskończonej ciemności, a następnie w podzięce został powieszony przez tych, którzy zawdzięczali mu życie. Śmierć nie była jednak końcem tej historii, a zaledwie początkiem, gdyż po siedmiu dniach Zbawca powrócił. Jego ciało zmartwychwstało, pokonało śmierć.

I tak Zbawca stał się czymś więcej niż męczennikiem, stał się Bogiem, a gdy zakończył swe dzieło, zapewnił, że Królestwo Stwórcy jest nieskończone i przyjmie każdego, kto uwierzy w pokonanie śmierci. Kto uwierzy, że ciało wstało z martwych i ruszyło ku niebiosom.

Zatem jakim cudem ciało Zbawcy znalazł tutaj? W tym starym, kamiennym sarkofagu, w krainie zapomnianej przez Stwórcę, unikanej nawet przez światło? Na początku nie chciał wierzyć, że to on, że to prawdziwy Zbawca, ale za dobrze znał historię, widział zbyt wiele rycin, czytał za dużo zapisków, by zanegować oczywisty fakt: oto stał przed grobem Zbawcy, który wbrew wszystkiemu, co zostało powiedziane – nie pokonał śmierci.

Leżał tutaj, nietknięty przez czas. Jego ciało nie uległo rozkładowi, ale chociaż w przypadku ludzi coś takiego można by uznać za wyjątkowe, tak dla elfa było normą. Ciała elfów po śmierci przeciwstawiały się rozkładowi, czym zresztą gatunek ten się szczycił, otrzymując kolejny argument za swą doskonałością.

Tak, Zbawca był elfem. Nieważne, jak bardzo ludzkość chciała o tym zapomnieć, jak bardzo starano się wypaczać jego wizerunek w historii, usuwać z ilustracji charakterystyczne, spiczaste elfie uszy. Ci, którzy prawdziwie szukali prawdy, znali ją. Zbawca był czystym elfem pochodzącym z dalekiego Airelfell, zamkniętego królestwa zwanego także Nowym Edenem.

Był jednak inny od reszty elfów, bardziej ludzki, lecz pozbawiony najgorszych cech człowieka. Nic dziwnego, że bardzo szybko zjednał sobie tak wielu uczniów, słuchających jego prawdy o życiu wiecznym u boku Boga Stwórcy i pokonaniu śmierci. Głosił, że ruszy do swego Ojca w niebie, a inni potwierdzali te słowa, opowiadając, jak to ciało zniknęło z grobowca, by Zbawca mógł przekazać swe ostatnie nauki.

Jednak to było kłamstwo. A skoro kłamał w tej kwestii, to czy kłamał też w innych? Czy cokolwiek z tego było prawdą? Czy Najwyższy Kościół wiedział o tej obłudzie?

Rycerz nie potrafił znaleźć odpowiedzi, aczkolwiek całym sobą szukał resztek sensownych wytłumaczeń. Mógł w każdym momencie poznać prawdę, potwierdzić ostatecznie autentyczność znalezionej ciała. Miał tę możliwość dzięki swej kłątwie, tej samej, której nienawidził przez całe życie. Kłątwe będącej dla innych symbolem zła zagnieżdżonego w jego duszy. Teraz żałował jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, że jako jeden z nielicznych ma możliwość uzyskania odpowiedzi, poznania prawdy.

Rycerz wypuścił powietrze spod swego hełmu, który skrywał dokładnie całą jego twarz, zostawiając jedynie wąski pasek na wysokości oczu. Było zbyt ciemno, by ujrzeć jego lewe, błękitne oko. Prawe natomiast pozostawało widoczne mimo mroku, lśniąć szkarłatną nienaturalną czerwienią spod hełmu. To właśnie było jego znamię, jego kłątwa, po której każdy mógł rozpoznać to, kim, a raczej czym, jest.

Był zwiastunem, a przynajmniej tak zwało go pospólstwo. Używano także określeń „syn diabła” czy też „dziecko Samaela”. Wierzono, że ludzie o świecących, szkarłatnych oczach zwiastują nadejście zła, że są heroldami końca czasów.

Być może była w tym część prawdy, to właśnie osoba przeklęta bowiem stała teraz u progu starego sarkofagu, mogąc zachwiać fundamenty wiary ludzkości, co zapewne doprowadziłoby do końca tego, co znane i uporządkowane.

Jeśli ktoś w nic nie wierzy, to tak naprawdę wierzy w bezsens, a to prowadzi do usprawiedliwionego chaosu i wszechobecnego zła.

Czy to właśnie dlatego Najwyższy Kościół skłamał? Czy chciano w ten sposób uratować świat przed nim samym? Czy to było konieczne kłamstwo? – pytał w myślach rycerz.

Przez dłuższą chwilę powtarzał te pytania na różne sposoby, aż w końcu sam udzielił sobie odpowiedzi – nie. Kłamstwo pozostaje kłamstwem, nieważne, jak bardzo nie byłoby ono konieczne, kłamstwo zawsze jest złe, a przynajmniej tak został nauczony. Nauczony przez wiarę w... kłamstwo. Wiare, którą teraz kwestionował.

Rycerz poprawił kaptur na hełmie i powoli odpiął od ramion okalający go brązowy płaszcz, a gdy odzienie upadło na zakurzoną posadzkę, człowiek zrobił krok przed siebie, stając tuż nad ciałem Zbawcy. Z torby przymocowanej do skórzanej, okutej miejscami metalem zbroi wyciągnął dość specyficzną, czarną świecę wyrzeźbioną w kształt palca wskazującego. Gdy spojrzał na jej lont, ten zapalił się, jakby pod wpływem niemego rozkazu wypowiedzianego przez swego pana, towarzyszył temu szybki błysk szkarłatnego oka. Następnie ściągnął skózaną rękawicę i gołą dłonią dotknął czoła Zbawcy, nie odrywając wzroku od płomienia świecy, tańczącego pod wpływem panującego wewnątrz pomieszczenia przeciągu. Wsłuchał się w bicie swego serca, które z każdym kolejnym uderzeniem zdawało mu się coraz bardziej odległe, obce, aż nagle ucichło całkowicie, a jego gardło ścisnęło się. Nie mógł złapać oddechu.

Rozejrzał się wokół, czując... współczucie? Współczuł tłumowi gapiów, który przyglądał się radośnie, jak pętla na jego szyi się zaciska. Nie chciano dać mu szybkiej śmierci, jego oprawcy opanowali do perfekcji sztukę podduszania, potrafiąc utrzymywać ofiarę przy życiu przez wiele wypełnionych bólem minut.

Czuł, jak ulatnia się z niego życie, a powieki robią się coraz cięższe. Ostatnimi siłami spojrział na skazańców wiszących po jego prawej i lewej stronie, którzy tak jak i on mitali się na wisielczych pętlach.

I wtedy nastąpił potężny blask, piękny i oślepiający, a za nim podążył grzmot zwiastujący ulewę. Gdy pierwsze krople dotknęły jego twarzy... odskoczył od sarkofagu, próbując złapać powietrze w usta. Nie sądził, że kiedykolwiek tak bardzo będzie cieszył się z czegoś tak trywialnego jak oddychanie. Rozkoszował się każdym wdechem. Serce wciąż biło mu jak szalone, nie potrafił nad nim zapanować.

W końcu przewrócił się i... znowu wisiał na szubienicy, znowu nie mógł złapać oddechu, by chwilę później wrócić na zakurzoną podłogę obok starego sarkofagu. Chciał wstać, ale nogi pozostawały nieruchome, nie mógł zmusić ich do posłuszeństwa. Wykorzystał zatem same ręce, oparł się o bok sarkofagu i... ponownie znalazł się na szubienicy, ale tym razem z przerażeniem wpatrywał się w kata ze starego imperium, zawiązującego mu pętlę wokół szyi.

Chwilę potem zaczęło go opuszczać, a on znów walczył o każdy haust powietrza. Przeszywający ból przebiegł po całym jego ciele, sprawiając, że po raz kolejny stał przy sarkofagu, opierając się o niego resztkami sił. Nie wiedział nawet, kiedy udało mu się odzyskać władzę nad nogami. Powoli dochodził do siebie, a przynajmniej tak myślał do momentu, gdy po raz kolejny zupełnie bez żadnej zapowiedzi stanął na szubienicy, dusząc się i wijąc z bólu. Wiedział, że to wszystko nie jest prawdziwe, że to tylko wizja, echo odległej przeszłości. Dlatego sięgnął ponownie do swej przybocznej torby i drżącą ręką wyciągnął z niej dwa przedmioty: niewielką, starą tabakierę oraz dziecięcą zabawkę – dwie drewniane kulki połączone sznurkiem. Kulkami zaczął stukać o siebie, a z każdym kolejnym stuknięciem zdawały się wracać mu siły.

Stuk i wiwatujący tłum przed nim zniknął.

Stuk i pętla na szyi zamieniła się w nicłość.

Stuk i zamiast na szubienicy znalazł się po raz kolejny przy sarkofagu.

Wraz z ostatnim dźwiękiem rycerz wziął z tabakiery proszek o błękitnym kolorze i wsypał go przez otwór w hełmie wprost na oczy. Reakcja

była niemal natychmiastowa. Wszelki ból zniknął, jakby zdmuchnięty z wiatrem, a przez ciało rycerza powędrowało ciepło tak przyjemne, że marzył, by towarzyszyło mu już wiecznie.

Przez tę krótką chwilę miał wrażenie, że ponownie jest dzieckiem, które zajada się najpyszniejszym ciastem swej mamy, że przytula się do pierwszej, jedynej miłości, że wszystko, co kiedykolwiek mu ciążyło, jest tylko nic nieznaczącą iluzją, a jego prawdziwe życie objawiło mu się dopiero teraz w pełni swej chwały, nawołując, by pozostał w nim już na zawsze.

Effekt działania specyfiku nie był wieczny i gdy przeminął, pozostawił po sobie tylko namiastkę siebie, rozluźniając mięśnie rycerza, dając mu ukojenie, którego tak bardzo potrzebował.

Dopiero teraz znów spojrzał na ustawioną na sarkofagu świeczkę o kształcie palca, a raczej to, co z niej zostało. Wbrew logice wypaliła się niemal całkowicie. Obecnie dopalał się w niej biały płomień, wypuszczając z siebie ostatnie smugi czarnego dymu, który wił się wokół rycerza, zataczając okręgi. W końcu zgasła ostatnia iskra, a zakapturzonego rycerza ponownie spowiły ciemności.

Teraz nie miał już żadnych wyjaśnień, potwierdził to, co tak naprawdę wiedział od początku. Używając swej klątwy, zdołał ujrzeć ostatnie chwile życia osoby z sarkofagu i zobaczył to, czego się spodziewał – śmierć Zbawcy na szubienicy. Odruchowo sięgnął do swej szyi, na której wisiał „święty” medalion, symbol jego wiary. Były to dwie litery S przecinające się prostopadle w taki sposób, że tworzyły równoramienny „falujący krzyż” – symbol światła, słońca, a także znanych czterech stron świata, czterech cnót, czyli tak naprawdę oznaczał on samego Stwórcę. Krzyż ten wpisany był w okrąg, mający ukazywać doskonałość, dokończenie, jedność, wieczność, a także pętlę, od której zginął Zbawca.

Ten sam, którego ciała miało tutaj nie być, a jednak było, spoczywało w tej zapomnianej, zrujnowanej katedrze, z dala od wszelkich wpływów Kościoła. Leżał tam, zupełnie nagi, nie wyróżniając się niczym od zwyczajnego elfa, nie licząc starych ran, które przed śmiercią zadało mu imperium. Skatowano go ku ucieście tych, których kochał.

– To nie ma sensu – wyszeptał rycerz, opuszczając głowę. – To wszystko nie ma sensu...

Uklęknął.

Jakaś jego część wciąż uparcie wierzyła, chciała wierzyć. Ta część właśnie zdała sobie sprawę, że stoi przed tym, którego uznawał za wcielenie Boga, przed tym, kogo nauki ukształtowały większość znanego świata.

– Panie, któryś zbawił świat przed cieniem, któryś pokonał odwieczny głód... Ty, który pokonałeś śmie... – przerwał modlitwę. Sam nie wiedział, co robi. Dlaczego wciąż odczuwał respekt do oszustwa? Czy naprawdę jego umysł nie potrafił działać inaczej? Nie potrafił zaakceptować prawdy, niezależnie od tego, jak brutalna by nie była?

Poczuł nagły przypływ chłodu, a z ust uciekła mu para powietrza, która zatrzymała się tuż przy jego twarzy i zawisła zatrzymana niczym namalowany przed wiekami fresk.

– Mówiłem, że tu będzie – odezwał się głos zza jego pleców. Należał do starszego mężczyzny pokrytego zmarszczkami. Twarz przysłaniała mu gęsta, siwa broda. Ubrany był zaś w wielokolorową tunikę, tak bardzo kontrastującą z ponurym wystrojem tutejszego wnętrza.

– Skąd wiedziałeś? Jak... Przecież to niemożliwe! – odpowiedział rycerz, lecz gdy odwrócił się do przybysza, tego już tam nie było, zniknął, jakby nigdy nie istniał.

– Już ci mówiłem, jestem podróżnikiem, wiem wiele rzeczy – odparł starzec, ukazując się znienacka tuż za plecami rycerza. Następnie sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął czerwone jabłko.

– Jesteś z Muru. Chciałeś, żebym znalazł to miejsce. – Rycerz powoli skierował dłoń w stronę przewieszzonego przez plecy miecza. Było to naprawdę wielkie ostrze, które dla większości zwykłych ludzi nie miałoby zastosowania w walce z powodu swego ciężaru. Rycerz ten nie był jednak zwykłym człowiekiem, kłótwa nie pozwalała mu na ten luksus.

– Czy ma znaczenie, skąd pochodzę? Czy ma znaczenie, kim jestem? Mogę być mordercą i złodziejem, ale mówiona przeze mnie prawda nie jest przez to mniej prawdziwa, jeśli podpierają ją fakty.

– Mogłeś to zaplanować. To może być magiczna sztuczka... Próbujesz zachwiać moją wiarą. – Rycerz dobył miecza, ukazując przybyszowi ostrze o głowni niczym zastygnięty w czasie falujący płomień. Miało kolor świeżego śniegu, który dopiero co ułokował się na górskim szczycie.

– Zaplanować? Oszukać? Żadna magia nie byłaby w stanie zwieść twego oka, wiesz o tym. Jesteś jedną z nielicznych osób, której nie byłbym w stanie zmylić sztuczkami, niezależnie od tego, jak potężne by nie były. Ale... ty to już wiesz, prawda? – Starzec wlepił spojrzenie w szkarłatne oko błyszczące spod przyłbicy hełmu rycerza, a następnie wziął kęs wyciągniętego wcześniej jabłka.

Zwiastun powoli opuścił broń w geście bezradności, wiedząc, że stary czarodziej ma rację – ostatecznie nie miało znaczenia, dlaczego pokazał mu to miejsce, ani jaki był jego ukryty cel. Prawda pozostaje prawdą, niezależnie z czyich ust pada.

– Co teraz zrobisz, zwiastunie? – spytał czarodziej, siadając na krawędzi sarkofagu, czym zdenerwował rycerza bardziej, niż ten chciałby to teraz przyznać. – Ruszysz dalej i wykonasz zadanie, które ci powierzono? Czy może ściągniesz hełm, którego twoi panowie zakazali ci ściągać, i postawisz się im i ich prawom?

Rycerz nie miał odpowiedzi. Nie potrafił dopuścić do siebie żadnej myśli, opadając coraz bardziej w bezkres beznadziei, w otchłań, wewnątrz której rozbrzmiewało jedynie bicie jego serca. Najwyższy Kościół i co za tym idzie, wykreowany przez niego świat uważał zwiastunów za monstra dotknięte demoniczną klątwą, a on wierzył w to całe swe życie. To dlatego dziękował miłosierdziu Stwórcy, który przez usta jednego z pontyfików powołał do istnienia bractwo templariuszy – Obrońców Świątyni Świętego Białego Płomienia. Tych, którzy odpowiadali jedynie przed inkwizycją, pontyfikiem i samym Stwórcą. Mieli składać się ze zwiastunów, którzy w ten sposób otrzymali szansę na odpokutowanie za grzechy swoje i swych przodków oraz odnalezienie drogi do Zbawcy i Stwórcy.

Rycerz, tak samo jak pozostali członkowie bractwa, wierzył, że składając śluby i wykonując powierzane mu zadania, zbliża się do Królestwa

Stwórcy, gdzie dzięki zasługom zostanie łaskawie potraktowany mimo klątwy, która na nim ciąży.

Ale jeśli to wszystko było kłamstwem, to całe jego życie nie miało już znaczenia. Oparł swój żywot na jednym celu: dążeniu do zbawienia i... zostało mu to zabrane. Stał się pusty, pozbawiony jakiegokolwiek celu, marzeń czy nadziei. Chciał się gniewać, ale nawet gniew nie potrafił już uformować się w jego duszy, o ile ta kiedykolwiek istniała.

Rycerz przyłożył dłonie do karku i powolnym ruchem ściągnął swój hełm, ukazując zaniedbaną, przetłuszczoną brodę i równie brudne włosy o takim samym, kruczoczarnym kolorze. Nie przycinał ich od wielu lat, toteż już od dawna wystawały mu spod hełmu i opadając na plecy, formowały wodospad ciemności. Pamiętał dobrze każdy moment, gdy otrzymywał pozwolenie na ściągnięcie hełmu, i za każdym razem było to dla niego niezwykle doświadczenie, nagroda za dobrze wykonane zadanie, niezachwianą wiarę i oddanie Stwórcy.

Teraz... nie czuł nic. Nie miało to dla niego żadnego znaczenia. Nie dawało żadnej satysfakcji, a jedynie bardziej wydręczało w jego duszy pustą, pozbawioną sensu dziurę.

Dobrze wiedział, że hełm jest nie tylko uciążliwym brzemieniem, ale i ochroną. Wykonano go z tego samego metalu, co jego ostrze, używając do tego Świętego Białego Płomienia. Nie musiało minąć wiele czasu, gdy jego umysł zaczął ukazywać mu to, czego hełm nie dopuszczał – czas.

To było prawdziwe brzemie wszystkich zwiastunów – ich szkarłatne oczy potrafiły ujrzyć więcej niż zwykli ludzie, oglądać świat w wymiarze niezrozumiałym nawet dla samych zwiastunów. Pomimo posiadania oka o nieskończonej potędze, ich świadomość pozostawała ludzka, a co za tym idzie, nie potrafili pojąć, objąć umysłem widzianych obrazów. To dlatego templariusz pozbawiony swego hełmu oglądał, jak sarkofag zamienia się w trawę, a ta w piasek, by po chwili przekształcić się w bujny las. Patrzył na chaotyczne, niezrozumiałe obrazy każdego wydarzenia, które miało miejsce w promieniu widzenia szkarłatnego oka. Obrzucały go wizje szybko zmieniających się sylwetek, postaci z czasów zamierzchłych,

budowniczych wielkiej katedry oraz tych, którzy przynieśli do niej ciało Zbawcy.

Wszystko to ukazywało mu się na krócej niż najkrótsza chwila, zamieniając się miejscami z następnymi wydarzeniami nakładającymi się na siebie niczym tysiące kalejdoskopów wirujących w przeklętym tańcu.

Potrafił nad tym zapanować, uczono go, jak wykorzystywać to na swoją korzyść, jak wyłapywać to z tych wizji, czego potrzebuje, ale teraz nie miał zamiaru tego robić. Cierpliwie czekał, aż z jego przekłętego oka popłynęła strużka krwi, a za nią, niczym grzmot po błyskawicy, przybył nieznośny ból głowy, który zdołałby powalić każdego człowieka, ale nie templariusza.

Wciąż czekał, nie bacząc na cierpienie, któremu sam się poddawał. Nie bacząc na fakt, że terażniejszość już dawno uciekła mu sprzed oczu, zostając całkowicie zastąpiona szarością chaotycznych kształtów przychodzących i odchodzących tak samo nagle.

Czekał, pozwalając by świat przed nim, świat, który znał, przestał istnieć, ustępując miejsca setkom tysięcy wydarzeń przeszłości zarówno odległej, jak i całkiem bliskiej, ukazującej, jak wkraczał do pomieszczenia z sarkofagiem pełen lęku i niepewności.

Czekał... aż usłyszał skowyt. Z chaosu wyłonił się kształt bez kształtu. Coś, co żyło mimo bycia odległym od definicji życia. Istota, jakiej żaden człowiek ani zwiastun nie byłiby w stanie opisać znanymi sobie słowami. Byt, który można było określić jedynie przez emocje, jakie towarzyszyły z obcowania z nim. Strach, jakiego nie dało się porównać do żadnego znanego ludziom przerażenia. Rozpacz sprawiająca, że wszystkie poprzednie smutki zdawały się niczym. I bezsilność wynikająca z poczucia bycia równie małym, co swe dawne lęki.

W porównaniu do bezkształtnej istoty templariusz zdawał się pyłkiem, drobiną nicości w morzu cieni i niebytu.

Wiedział, że się do niego zbliża, chociaż nie miała nóg. Wyczuwał jej złość, nienawiść, jaką darzyła zwiastuna. Nie mogła wytrzymać faktu, że ją widzi. Nie potrafiła zaakceptować kogoś, kto był w stanie zauważyć jej istnienie, bo przecież... nie istniała, nie w prostym, ludzkim znaczeniu

tego słowa. Zamierzała rozerwać go na kawałki, ukarać za spoglądanie tam, gdzie żaden człowiek nie powinien. Ale on był na to gotowy, na to właśnie liczył.

Jeśli jego życie było kłamstwem i to wszystko nie miało znaczenia, to wołał odejść z tego świata obludy. I zamierzał to zrobić na własnych zasadach, mierząc się z największym lękiem każdego ze zwiastunów.

Czy w ten sposób chciał po raz ostatni splunąć na istotę, przed którą chował się całe swe życie? Czy była to ostatnia próba znalezienia sensu w bezsensie? Być może. A może po prostu chciał odejść tak, jak nauczyła go jego oparta na kłamstwie wiara – w walce.

Dobyl miecza o płomienistej głowni i zamachnął się nim. Dla kogoś postronnego templariusz wyglądałby jak szaleniec wykonujący piruety i przecinający powietrze, ale on dobrze wiedział, co robi, w co celuje. Nigdy nie potrafił tego pojąć, ale w otaczającym go chaosie obrazów przeszłości potrafił w jakiś sposób zrozumieć, jak walczyć z bezkształtnym. Wiedział, że paradoksalnie swe cięcia musi kierować nie wprost na bestię, a w miejsca na pierwszy rzut oka zupełnie nielogiczne.

Dlatego przecinał przestrzeń nad swoją głową i wymachiwał w stronę czegoś za swoimi plecami. Chociaż nie był w stanie zabić potwora ani ujrzeć, czy zadał mu jakiś ból, to miał przeczucie, że mu się to udaje. Zresztą, gdyby było inaczej, monstrum już dawno by go dorwało.

Nie mógł jednak bronić się w nieskończoność. Jego twarz z każdą kolejną chwilą nabierała coraz to nowych nacięć tak dokładnych, jakby pośród ciemności czał się jakiś uczony z ostrym skalpelem, rozkoszujący się obdarowywaniem go kolejnymi bliznami.

Ból głowy narastał, ilekroć nowa kropla krwi opuszczała szkarłatne oko. Jego zbója miejscami zdawała się gwałtownie rdzewieć, a kości stały się coraz cięższe.

I wtedy... usłyszał huk.

II. Cassimir

Z nieba prószył śnieg, starając się przysłonić mroczną, spaloną ziemię, lecz jego wysiłki spełzały na niczym. Płatki nie były w stanie zbyt długo utrzymać się w swej stałej formie, przekształcając się w parę jeszcze w trakcie lotu, co tworzyło wiszącą nad ziemią chmurę, która niczym mgła wylewała się na horyzont, połykając wszystko na swej drodze jak potwór chcący ukryć świat swą paszczą. Mimo to nad tą ścianą mgły wciąż dominowała inna, znacznie potężniejsza ściana, wyłaniająca się spośród chmury niczym złowrogi cień, chcący zablokować drogę temu oddechowi zimy.

Był to Wielki Mur zwany Barierą Zapomnianych, największa struktura na świecie. Niektórzy twierdzili, że zbudowali go Shaelorianie, inni, że elfy, a jeszcze inni uważali, iż to dzieło samego Stwórcy, który w ten sposób przygotował światu plan awaryjny. Niewątpliwie jednak to Wielki Mur sprawiał, że świat wciąż istniał, oddzielając zrujnowane przez demony ziemie upadłego Shaeloru od krain ludzi.

Bariera Zapomnianych była szeroka na kilkadziesiąt kilometrów i długo na setki, ciągnąc się od zaczynających się daleko na południu Gór Iraada aż do północnych Gór Niebios.

Do znajdującego się za murem tak zwanego Międzygórza prowadziły tylko dwie inne drogi – przez zrujnowane krasnoludzkie podziemia oraz przez Larush, ogromną, surową krainę skutą lodem, gdzie niepodzielnie rządziły dzikie plemiona orków, ludzkich barbarzyńców i wielu innych przerażających bestii.

Przez pierwsze lata po tym, jak Zbawca powstrzymał pochód demonów, te, które nie schowały się w głębi Upadłych Krain, ruszyły właśnie na Larush, tocząc niekończącą się wojnę aż po dziś dzień.

Czarnoskóry człowiek w ciszy przyglądał się ogromowi struktury daleko przed nim. Za każdym razem, gdy w trakcie swych wędrówek miał przyjemność ujrzeć barierę, nie dowierzał, że wewnątrz tego muru, nie pod nim czy za nim, lecz dosłownie wewnątrz niego znajdowało się jedno z ludzkich państw wraz ze swoimi odciętymi od światła miastami i skomplikowaną strukturą społeczną, tak inną od reszty świata.

Czego jednak oczekiwać po ludziach, którzy całe swe życie spędzają wewnątrz zimnych ścian pokrytych świecącymi grzybami? Państwo to nazwali Enod i szybko stali się jednym z najpotężniejszych graczy na scenie politycznej. Nic nie było w stanie zatrzymać ich podboju królestw Międzygórze...

A jednak się zatrzymali, czego dowodem były zamarznięte ściany murów. Wysokie baszty wylaniające się nad parującymi chmurami przykrywał biały puch, upodabniając tę boską budowlę do łańcuchów górskich, między którymi się znajdowała.

Czarnoskóry mężczyzna wystawił dłoń przed siebie, ale żaden płatek śniegu nie był w stanie do niej dolecieć. Wszystkie ulegały wysokim temperaturom panującym w tej zniszczonej krainie.

Shaelor był martwy od dawna, pokryty ruinami, po których pozostały jedynie wystające z ponad gór popiołu i ciemnego piachu wierzchołki, a jednak paradoksalnie, to właśnie to przerażające miejsce, gdzie nawet powietrze zdawało się zatrute, jako jedno z nielicznych stawiało jeszcze opór.

Opór przed mroźną śmiercią.

Świat ludzi umierał. Trwająca zima przybyła bez ostrzeżenia, zaskakując wszystkich. Początkowo twierdzono, że to gwałtowne ochłodzenie potrwa kilka tygodni, potem, że kilka miesięcy. Teraz pozostało już tylko błagać Stwórcę, by po ośmiu latach mroźnego piekła okazał miłosierdzie swym dzieciom. By uchronił je przed końcem.

Chyba że to właśnie miał być koniec. Może właśnie tak Stwórca postanowił zakończyć pisaną przez siebie księgę, przykrywając świat bezkresem bieli.

Bezkresem nicości. W ten sposób wszystko wróciłoby do stanu, którym było na początku. Do białej kartki, jaką Stwórca zapisze na nowo.

Mężczyzna poprawił siwe włosy splecione w krótkie warkoczki i założył stary hełm na głowę. Raz jeszcze rzucił spojrzenie na zniszczone, mroczne pustkowia przed nim i znajdujący się w oddali mur, a następnie obrócił się ku drewnianym drzwiom. Przepchnął się między ich skrzydłami i tak znalazł się we wnętrzu pradawnej, pokrytej kurzem katedry.

Mimo zaniedbania i wieków zapomnienia dalej robiła wrażenie swymi nieskończonymi kolumnami o metalowych zdobieniach. Rzeźby przedstawiające anioły o spiczastych uszach, tak bardzo przypominające elfy, czuwały na szczycie każdej z kolumn, przyglądając się mężczyźnie, gdy podążał czerwonym dywanem ku ołtarzowi. Tuż przed nim uklękął i przeżegnał się, nie odrywając wzroku od wiszącego nad nim falującego krzyża wpisanego w okrąg. Po zakończeniu krótkiej modlitwy poszedł za ołtarz, gdzie czekały na niego kręte schody ku nieprzeniknionej ciemności.

Ruszył ku niej. Wiedział dobrze, co znajdzie na samym końcu tej mrocznej ścieżki i chociaż nie miał ochoty tam wracać, to nie mógł pozostawić tam swego przyjaciela. Stawiając kroki na kolejnych stopniach, zastanawiał się nad tym, czego się dowiedział, co widział i przede wszystkim... co powie swemu towarzyszowi.

Po pokonaniu schodów stanął przed uchylonymi kamiennymi drzwiami. Wziął głęboki wdech, uśmiechnął się pod hełmem i wkroczył do komnaty. W środku zastał swego towarzysza wymachującego bronią w powietrzu. Każdy normalny człowiek wziąłby go za szaleńca, ale czarnoskóry mężczyzna wiedział aż za dobrze, czego jest świadkiem. W końcu on także posiadał szkarłatne oko.

On też był przeklętym zwiastunem.

Czym prędzej sięgnął po pistolet skałkowy przy swoim pasie i wycelował w walczącego z powietrzem towarzysza.

Huk wystrzału był tak głośny, że stare ściany pomieszczenia zadrżały, a z sufitu uleciał kurz, opadając na kaptury obu templariuszy. Kula trafiła walczącego w ramię, przez co zaprzestał on swojego starcia z niewidzialną

istotą i jakby wyrwany z głębokiego snu, rozejrzał się wokół, szukając czegoś przerażonym wzrokiem. Czarnoskóry schował pistolet i po raz kolejny wciągnął powietrze. Chciał jak najbardziej się uspokoić, rozluźnić i wrócić do swego naturalnego, radosnego „ja”.

– Jakbym cię nie znał, Joseph, to bym pomyślał, że próbujesz się zabić i to w dość nieudolny sposób – zaczął sarkastycznie czarnoskóry, po czym od razu skarcił się w myślach. Ostatnie, czego teraz potrzebował jego towarzysz, to zabawnego tylko dla jednej strony sarkazmu.

– Myślałem, że uciekłeś – odparł templariusz nazwany Josephem. Jego oddech był nierówny, a dłonie drżały, dlatego czarnoskóry zwiastun podniósł jego hełm i założył mu go powoli na głowę. Potem sięgnął do torby, wyciągnął z niej tabakierę, a z tej wysypał błękitny proszek.

Nienawidził tej substancji, ale tylko tak mógł pomóc Josephowi.

– Nie chcę – powiedział Joseph, odtrącając dłoń.

– Potrzebujesz tego – odpowiedział czarnoskóry, kucając przy siedzącym przyjacielu.

– Co za różnica, to... i tak już koniec.

– Koniec? Niby dlaczego? – Czarnoskóry oczywiście wiedział, co Joseph ma na myśli. W końcu on też widział zawartość sarkofagu. On także musiał się z nią skonfrontować i przez to uciekł na zewnątrz, zostawiając towarzysza samego z nowo poznaną prawdą.

– Cassimir... – wyszeptał z wyczuwalnym gniewem w głosie Joseph.

– Chociaż raz przestań zgrywać idiotę i...

– I co? Usiądź na ziemi, załam się i uznaj, że wszystko nie ma sensu?

– przerwał mu czarnoskóry Cassimir. – Mogę też spróbować się zabić, korzystając z pomocy bezkształtnego, ale co to zmieni?

Cassimir wyciągnął z torby niewielkie szczypce i podał je Josephowi, ale gdy ten ich nie odebrał, czarnoskóry zwiastun sam podjął próbę wyciągnięcia kuli z jego ramienia. Nie była to przyjemna operacja, ale Joseph ani razu się nie odezwał, tak jakby nie był w stanie odczuwać już nawet bólu.

– Krzyknij sobie – powiedział w końcu Cassimir. – Tam, skąd pochodzę, mawiamy, że gdy ciało już nie może, to zaczyna krzyczeć dusza. I to

właśnie ten krzyk duszy jest najbardziej szczerą emocją, jaką możemy wyrazić. To on nas oczyszcza.

– A ty... krzyknąłeś sobie? – spytał zgryźliwie – Pomogło? Poczuleś się lepiej, czy tylko odstraszyłeś ptaki?

– Dobrze wiesz, że w Shaelorze nie ma ptaków. Ale odpowiadając: tak, krzyknąłem sobie. I to jak! Myślę, że słyszeli mnie nawet w Enodzie. Pewno jakaś rodzina...

– Dość bogata, skoro jeszcze nie zamarzła – wtrącił Joseph, pozwalając, by Cassimir opatrzył jego ranę.

– W Enod to bez różnicy, oni tam nie mają pieniędzy – tłumaczył czarnoskóry zwiastun. – No ale wracając, myślę, że jakaś rodzina przy obiedzie mogła usłyszeć moje soczyste przekleństwo i zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem Zbawca nie przyszedł skopać ich niewiernych tyłków.

– Wątpię, by miał przyjść kiedykolwiek, Cass...

– Ano tak, sarkofag! Wiedziałem, że o czymś zapomniałem! – zaśmiał się starszy templariusz. Robił, co mógł, by stworzyć luźną atmosferę, ale chociaż jego schowane pod hełmem wargi wyginały się w uśmiechu, to był on równie sztuczny i wymuszony, co cała ta rozmowa. Mimo to czarnoskóry kontynuował ją dalej, wierząc, że tylko uśmiechem Joseph będzie w stanie przetrwać prawdę. – Myślę, że jak Enod naprawdę go zdenerwuje, to wstanie z tego sarkofagu. Spójrz, jaką ma bojową minę! To ktoś, kto umarł, wiedząc, że będzie mu dane skopać jeszcze niejednego tyłek – mówił dalej Cassimir.

– Przestań, Cass, wystarczy, już wystarczy – wydusił z siebie Joseph. – Żaden żart nie odmieni prawdy. To wszystko kłamstwo, bracie. Wszystko jest kłamstwem.

– Ja nie jestem kłamstwem, a ty? – spytał starszy zwiastun, przysiadając się obok towarzysza. – Przynajmniej ja nie czuję się kłamstwem.

– Stworzyło nas kłamstwo, Cass.

– Stworzyły nas więzi, Joseph – odpowiedział zwiastun, ściągając swój hełm. Nigdy nie podchodził do zakazu jego ściągnięcia zbyt poważnie. – To prawda, że powstały one dzięki Najwyższemu Kościołowi, ale... nie czyni

ich to mniej prawdziwymi. Jesteśmy braćmi w zakonie, inni bracia czekają na nasz powrót. Razem trenowaliśmy i walczyliśmy za tę samą sprawę.

– Za bujdę – dodał z wyrzutem Joseph.

– Za wiarę w świat, którego nas nauczono. – Cassimir obrócił hełm w dłoniach i odłożył go na moment na podłogę. – Nie jestem krety-nem, ale i nie będę udawał, że znam wszystkie odpowiedzi. Nie wiem, dlaczego Zbawca tu jest. Może nie zrozumieliśmy czegoś z jego słów, a może ktoś zafałszował jego przekaz na przestrzeni lat, ale... jakie ma to znaczenie?

– Ogromne! Jeśli wierzyliśmy w kłamstwo... Jeśli to wszystko nie było prawdą...

– To nagle mniej prawdziwa staje się radość, którą czujesz, gdy uda ci się uratować przed demonem małe dziecko? Ile razy zostaliśmy przydzieleni przez Najwyższy Kościół do tego typu zadań? Ile razy czuleś cel, do którego mogłeś dążyć? Czy robiłeś to wszystko z przymusu, czy może dlatego, że wierzyłeś, że to dobra droga?

– Robiliśmy też... wiele innych rzeczy, Cass. Zabijaliśmy nie tylko demony. – Joseph również ściągnął hełm i przyjrzał się swojemu odbiciu w nim. – Robilem... robiliśmy to, co nam kazano. Nie kwestionowaliśmy nigdy rozkazów. Nigdy się nie wahałem, nie zadawałem pytań, bo nauczono mnie, że to dobra droga, że to inni są źli. Ale to był wymysł, Cass. Oszustwo.

– A kłamstwo jest złe, tak?

– Oczywiście.

– I wiesz to, dzięki... naukom kłamstw Najwyższego Kościoła?

– Ja... po prostu... sam już nie wiem, co o tym myśleć! – krzyknął Joseph, rzucając swym hełmem o podłogę. – Kroczę w ciemnościach... pozbawiony wzroku. Pełen lęku i niepewności...

– ...ale wiem, że Zbawca jest przy mnie i prowadzi mnie za rękę, dlatego się nie boję – dokończył cicho Cassimir.

– Skoro to był fałsz... to jaki w tym wszystkim sens, Cass? Kto prowadzi nas za rękę? – Joseph nie był w stanie dłużej powstrzymać łez,

a gdy spłynęły po jego policzku, Cassimir uśmiechnął się najserdeczniej, jak tylko potrafił, i położył dłoń na jego ramieniu.

Czarnoskóry zwiastun nie znał wszystkich odpowiedzi, jak sam oznajmił Josephowi, ale był gotów skoczyć na głęboką wodę niewiedzy, niepewności, bo właśnie za to uważał wiarę.

W obliczu trudności lub komplikacji nie zarzuca się jej, a po prostu... dalej wierzy. Niektórzy nazwaliby to fanatyzmem, ale Cassimir nie czuł się szaleńcem. Po prostu nie wierzył, że on, zwykły zwiastun o szkarłatnym oku, może uczciwie i w pełni pojąć to wszystko. W tej sytuacji to wcale nie obecność ciała Zbawcy bolała go najbardziej, a fakt, że Najwyższy Kościół ukrył tę wiedzę.

Autorytety, w jakie wierzył, okazały się równie szare, co on, podczas gdy on wołał patrzeć na świat jak na czarno-biały obraz. Nienawidził odcieni szarości, bo to właśnie wtedy pojawiały się rozterki, pytania, a te prowadziły do dalszych pytań. Przecież świat nie może być tylko szary, prawda? Musi istnieć jakaś fundamentalna prawda, ostateczne dobro, najbielsza biel i... najczarniejsza czerń.

Cassimir nie był uczonym filozofem, obce były mu tego typu przemyslenia i nie zamierzał udawać, że jest inaczej, szukać na siłę powodu, by załamywać się coraz bardziej, a już na pewno nie widział sensu w podtrzymywaniu Josepha w jego smutku.

– Zapytałem kiedyś Wielkiego Mistrza o moją rodzinę – zaczął Cassimir, wyciągając z torby dziecięcą zabawkę, niewielki bączek, którym zakręcił na podłodze przed Josephem. – Spytałem, czy wie, kim byli i czy... mógłbym ją odwiedzić. Wielki Mistrz nie chciał mi zdradzić tego sekretu.

Joseph podniósł głowę i spojrzał na uśmiechniętego towarzysza.

– Dlatego... zrobiłem to, co robię najlepiej i oczarowałem siostrę zakonną, aby pomogła mi dostać się do biura Wielkiego Mistrza, gdzie znalazłem dokładne dane na temat mojej rodziny z Karatui.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś – odezwał się młodszy templariusz.

– Mógłbym powiedzieć, że nigdy nie pytałeś, ale spójrzmy prawdzie w oczy, raczej nikt nie wpadłby na pytanie: „Hej, czy przypadkiem nie

zdradziłeś dzisiaj idei naszego zakonu i nie włamałeś się do komnat mistrza?”.

– W zasadzie... jednego dnia miałem to na końcu języka – zażartował Joseph, ocierając mokry policzek.

– Jakbyś wtedy spytał, i tak bym zaprzeczył. Byłeś zbyt wzorowym nowicjuszem. Do dziś pamiętam, jak zgłaszałeś się na ochotnika, by zamiatać wielką salę tylko po to, by zyskać te kilka dodatkowych pochwał.

– Po prostu nie lubiłem brudu.

– Albo bardzo lubiłeś zamiatać. – Cassimir spojrzał na kręcącego się bączka i wrócił myślami do swej opowieści. – Znalazłem moją rodzinę i wierz lub nie, ale okazało się, że to dość znaczący kupcy z Raszmaranu. Nawet przez chwilę się nie wahałem i jeszcze tej samej nocy uciekłem z klasztoru.

– Dziwię się, że jeszcze żyjesz. – Joseph, jak każdy templariusz, wiedział, że zwiastuni w klasztorze byli traktowani jak uwięzione demony. Jedno złe skiniecie, jedno zbyt duże przewinienie i żegnali się z głowami.

– Nie żyję. Umarłem, ale spokojnie, moje ciało nie zostało zabrane do Stwórcy, dlatego po pewnym czasie się obudziłem. Może dlatego Zbawca też tu zostawił ciało. Wiesz, by mieć do czego wrócić.

Joseph westchnął.

– Ja... prosty chłopak w największym mieście na świecie, złotym, cudownym Raszmaranie – kontynuował Cassimir. – Nic nie mogło równać się z tym, co tam ujrzałem, i żadne słowa nie opiszą ogromu tego miejsca, i dlatego nie opiszę ci tego, Joseph, bo po prostu się nie da, a wielokrotnie próbowałem. Powiem tylko, że to naprawdę kawał pięknego miasta.

– Spotkałeś się z rodziną?

– Tak i nie ukrywam, że byli niezbyt zadowoleni z mojej wizyty. Wiesz... w Karatui na zwiastunów poluje się dla narządów. Niektórzy wierzą, że jak zjedzą naszą wątrobę, to będą mogli chlać jak zwiastun. Nie rozumieją, że pić trzeba też umieć. – Cassimir sięgnął po bukłak z winem i wziął solidny łyk, nim powrócił do opowieści. – Ojciec nie chciał mnie wpuścić do domu, ale matka go przekonała i tak poznałem resztę rodziny:

małego Hawę, siostrzyczkę Dalię i jakieś piętnaścioro innych dzieciaków, których imion nawet nie pamiętam. Pamiętam za to, że wszyscy byli zupełnie oddani czczeniu Raszmy. Na początku mnie to ujęło. Wiesz... niby to nic dziwnego, że ktoś w Karatui czci Raszmę...

– Nie wiedziałem, że w ogóle modlą się do kogoś innego – wtrącił Joseph.

– No wiem, ale chodzi o to, że co innego mówić o tym, jak ważny dla Karatui jest Raszma, a co innego to zobaczyć – odparł Cassimir. – I z początku byłem naprawdę zafascynowany, czułem, że wróciłem do korzeni, do swojego domu, że to jest to, ale... wieczorem cała rodzina udała się na modły i zostałem zaproszony. Chcieli mnie złożyć w ofierze.

– Aua – wydusił młodszy zwiastun.

– Aua to mógłbym powiedzieć, jakbym uderzył się młotkiem w palec, to zaś... było ciosem tak potężnym, że czułem, jakby ktoś walnął mnie w potylicę młotem. Może dlatego, że ojciec uderzył mnie w potylicę wielką pałą. Ślad mam po dziś dzień.

– Więc jednak nie kłamałeś i umarłeś w tym Raszmaranie.

– A jakże. Umarłem, ale przeżyłem. Okazało się, że Wielki Mistrz jeszcze tej samej nocy, której uciekłem, wysłał za mną pogoń. Dotarli w ostatnim momencie i uratowali mnie przed poświęceniem na ołtarzu Raszmy. Niestety, jeden z naszych nie przeżył starcia. Któryś z moich braci wbił mu miecz w plecy z zaskoczenia.

Joseph opuścił głowę.

– Nie wiem, czy wybili moją rodzinę, czy nie i... może zabrzmieć oschle, ale nie obchodzi mnie to. – Cassimir powoli założył swój hełm na głowę. – Bo co to była za rodzina? Składać w ofierze własnego syna?!

– Najwyższy Kościół też ma nas za potwory.

– Ale Stwórca nigdy nie kazał nas składać w ofierze. Stwórca nie chce ofiar z ludzi. To prawda, że czasem wyznawcy bywają zepsuci, ale gdy czytam Świętą Księgę, nie widzę w niej, by Zbawca nakazywał kogoś składać w ofierze. Nie widzę, by zachęcał do rozlewu krwi. Raszma natomiast... robi to na każdym kroku. Może i wierzę w kłamstwo. Może wszystko to, czego mnie

nauczono, jest jedynie fałszem, ale... wolę fałsz, który nikogo nie krzywdzi, niż ten, który ujrzałem w Raszmaranie. Może właśnie na tym polega życie... by wybrać, w jaki fałsz się wierzy? Cóż, ja wierzę, że wybrałem ten najlepszy i zamierzam się tego trzymać. Mój fałsz mówi mi, że muszę wstać, otrzeć łzy i iść przed siebie, niezależnie od trudów i to właśnie zamierzam zrobić.

– Nie wiem, czy potrafię spojrzeć na to w ten sam sposób, Cass – odparł Joseph, zakładając swój hełm.

– To przynajmniej nie siedz na podłodze, bo ci tyłek zmarznie. Mamy misję, pamiętasz? Niezależnie od wszystkiego i tego, co teraz czujesz, tylko my możemy zatrzymać zimę.

Cassimir pomógł Josephowi wstać i chociaż wiedział, że młody templariusz wciąż pozostawał zdruzgotany, a w głowie jego nadal zalegało wiele pytań, to wyglądało na to, że przynajmniej na razie jest gotów skupić się na tym, co istotne, na zadaniu, które przydzielono każdemu istniejącemu zwiastunowi: przywrócić wiosnę na świecie.

Najwyższy Kościół oficjalnie głosił, że za tajemniczym ochłodzeniem stoi gniew Stwórcy i tylko modlitwą można go było przebłagać. Chociaż Cassimir po części wierzył, że jest to prawda, to jego przełożeni uważali nieoficjalnie coś zgoła innego. Twierdzili, że za tą katastrofalną w skutkach zimą mogą stać złe siły, demony lub inne istoty mroku. Zadaniem templariuszy było ich zwalczanie, dlatego rozesłano ich na cztery strony świata w poszukiwaniu śladów, wskazówek na temat prawdy o wiecznej zimie. Nawet Cassimir ruszył na wyprawę, pomimo że od wielu lat piastował pozycję Wielkiego Mistrza. Nie mógł siedzieć z założonymi rękami, nawet jeśli istniał tylko cień szansy na zatrzymanie zimy. Niestety, mimo już prawie dwuletniej wędrówki, wciąż nie znalazł żadnego konkretnego śladu tłumaczącego to gwałtowne ochłodzenie.

Poszlaki przybyły z niespodziewanej strony. Pewnego dnia do Cassimira i jego protegowanego – Josepha, przybył starszy czarodziej. Czarodzieje z definicji uznawani byli za kłamców, wrogów Najwyższego Kościoła, a ten na dodatek zdawał się pochodzić z Enodu – krainy, którą Cassimir równie gardził, co podziwiał.

Kochał wszystko, co piękne, a państwo w murze niewątpliwie takie było, przynajmniej na swój dziwny, ekscentryczny sposób, ale z drugiej strony, trudno było znaleźć miejsce o tak odmiennych od reszty świata poglądach, które obejmowały między innymi – najbardziej dla Wielkiego Mistrza kontrowersyjny – ateizm.

Enodianie otwarcie śmiali się z wszelkiej wiary, opierając swe społeczeństwo na sile rozumu, który dążył do stworzenia świata doskonałego, wspólnego i sprawiedliwego, gdzie Stwórcą jest idea niepotrzebną i staroświecką.

Być może wszyscy Enodianie wiedzieli o zrujnowanej katedrze, gdzie ukryto ciało Zbawcy? Być może stąd wziął się ich ateizm? Tego typu pytania krążyły w głowie Cassimira, gdy razem z Josephem opuszczali powoli podziemia, o których opowiedział im tajemniczy czarodziej. „Za murem, tam, gdzie nieliczni są w stanie dotrzeć. Tam znajdziecie swego Zbawcę, w starej katedrze, w zakurczonym sarkofagu” – tak brzmiały słowa czarodzieja.

Początkowo zwiastuni, a zwłaszcza Joseph, uznawali to za żart, wymysł, ale czarodziej na tym nie skończył. Powiedział także, że to w katedrze znajdą odpowiedź dotyczącą wiecznej zimy, a tego nie mogli zignorować. Nawet jeśli ten mag zamierzał zabawić się ich kosztem, nim dopadłby go mróz, to nie mieli innych poszlak. Mogli to zignorować i stać w miejscu lub ruszyć do Upadłych Krain, do przekłętego Shaeloru, gdzie nic nie miało sensu.

– Śnieg zamienia się w parę... zupełnie, jakby było tu ciepło – wyszeptał Cassimir, gdy wraz z Josephem przechodzili przez jeden z balkonów katedry. – A wcale nie jest tu ciepło. Wręcz powiedziałbym, że jest lodowato.

– Tak... tak jest... ale... co z tego? – spytał zbity z tropu Joseph wyrażnie wyciągnięty ze swych myśli.

– Ta kraina to chaos. Czysty chaos. Całkowity brak porządku. Tak właśnie to wygląda, Joseph.

Cassimir zatrzymał się na chwilę, by po raz kolejny rzucić spojrzenie ku potężnej Barierze Zapomnianych. Przykrywający jej baszty śnieg

przypominał mu o skali zniszczeń za murem. O całkowicie zamarzniętych miastach, skutych lodem wioskach i wszechobecnej śmierci. Z każdym rokiem było coraz gorzej. Większość zapasów zdążyła się skończyć w ciągu pierwszych sześciu miesięcy wiecznej zimy i gdyby nie czarodzieje i ich magia oraz uczeni to kolejne pół roku byłoby ostatnimi w dziejach ludzkiego gatunku.

Ale nawet magia i upór ludzi nie mogli wiecznie odwlekać nieuniknionego. Królestwa z dnia na dzień stawały się polami bitew między szukającymi pożywienia wygłodzonymi tłumami, które w ostateczności musiały postawić na kanibalizm.

Wpierw na ruszt rzucono dawną szlachtę, królów i innych rządzących, co w wielu przypadkach jedynie pogłębiło kryzys. Rządy królestw próbowały na różne sposoby zdobywać pożywienie i racjonować je między poddanymi w celu przetrwania swej kultury. Niestety, nie uważali za jej część najbiedniejszych, którzy ostatecznie ich pożarli, tworząc krainy bezprawia i anarchii. Po szlachcie przyszedł czas na mieszczan, którzy jako pierwsi zaczęli nawoływać do zjedzenia bogatych. A gdy pozostali tylko najbiedniejsi, brat zaczął pożerać brata, uśmiercając przy tym ostatnie z nauk Najwyższego Kościoła.

I świat upadł, zamienił się w dzicz, gdzie silny dominował nad słabym, a najważniejszym narzędziem stało się ostrze, którym można było zabrać komuś życie.

Cassimir wierzył, że to wszystko dałoby się jeszcze cofnąć. Wieczna zima postępowała nierównomiernie, wciąż pozostawały cieplejsze miejsca, dokąd wielu starało się uciekać, wywołując największy w dziejach kryzys migracyjny. Gdyby tylko templariuszom udało się przywrócić wiosnę... ludzkość mogłaby zacząć się odbudowywać. Może nawet stałaby się lepsza niż wcześniej.

Dlatego templariusze nie mogli zawieść.

Cassimir ruszył za Josephem do kolejnej części katedry. Kto ją zbudował? Dlaczego? Nie wyglądała na dzieło Shaelorczyków, zatem jakim cudem tu stała? – myśli Cassimira wędrowały od pytania do pytania, ale na żadne nie potrafił odpowiedzieć.

W końcu dotarli do pomieszczenia, które kontrastowało ze wszystkim, co do tej pory mieli okazję ujrzeć. Wypełniały je lodowe sople tak wielkie, że sięgały podłogi. Zdawały się połyskiwać delikatnym błękitem, rozświetlającym leżący gdzieś tam śnieg. Na ścianie przed nimi znajdowała się pokryta mniejszymi soplami płaskorzeźba, przedstawiająca ogromnego smoka w towarzystwie grającego na harfie anioła.

– Jakim cudem tu jest śnieg? Powinien wyparować! – skomentował Joseph.

– Naprawdę? A te sople wcale cię nie zmartwiły? – odpowiedział Cassimir. Coś bardzo nie podobało mu się w tej scenerii, dlatego dobył swojego wielkiego miecza, który podobnie jak ten Josepha, miał płomienistą klingę o kolorze śniegu. Joseph poszedł za swym mistrzem i nie tylko chwycił za ostrze, ale także wyciągnął swój pistolet skałkowy zza pasa.

Intuicja okazała się słuszna, gdyż nagle jeden z sopli pękł na tysiące fragmentów, a te w nienaturalny sposób poszybowały przed siebie, celując wprost w Josepha. Cassimir odepchnął go, chroniąc przed śmiercią, ale sam przez to oberwał jednym odłamkiem, który zanurzył się w jego przedramieniu.

Mimo bólu nie pozwolił sobie na pozostanie w miejscu i ruszył do przodu, szukając odpowiedzialnego za ten tajemniczy atak. To jednak Joseph okazał się skuteczniejszy i odkrył chowającą się za jednym z lodowych sopli młodą kobietę o błękitnych włosach. Gdy na niego spojrzała, znieruchomiał. Jej uroda była zniewalająca, a oczy niewinne i przeszkłone.

Najwyższy Kościół nauczał, że każdy, kto używa magii, tak naprawdę służy demonom, gdyż od nich pochodziły wszelkie czary, dlatego w trakcie swej służby jako templariusz, Joseph niejednokrotnie stawał przeciwko czarodziejom. Nigdy nie zastanawiał się nad prawdziwością nauk swej wiary, nie miał ku temu powodu, gdyż sami magowie także nie sprawiali wrażenia niewiniątek. Magia zawsze miała swoją cenę, która często objawiała się zniekształceniem ciała, upodabniając grzesznych czarodziejów do przeklętych demonów, którym według Najwyższego Kościoła służyli.

A jednak dziewczyna przed nim skinieniem dłoni potrafiła rozkazywać lodowym sopłom, jakby były przedłużeniem jej ramienia, częścią jej samej, a mimo to nie miała na sobie żadnych demonicznych śladów, niczego, co upodabniałoby ją do potworów, które templariusze mieli zwalczać.

– Joseph! – krzyknął Cassimir, widząc, że dziewczyna ukrywa za plecami spory lodowy sopel, którym zamierzała przebić Josepha na wylot. Młody templariusz odskoczył, unikając śmiertelnego ataku.

Dziewczyna wrzasnęła tak głośno, że każdy z sopli wewnątrz pomieszczenia rozpadł się, a ich odłamki równocześnie powędrowały na zwiastunów niczym grad strzał wypełniających pomieszczenie. Wtedy Joseph wymamrotał szybko jakieś słowa pod nosem, a jego ostrze zapaliło się prawdziwym ogniem. Następnie uderzył ognistą klingą o podłogę i wokół niego wybuchły płomienie, tworzące coś na kształt idealnej gorącej kopuły, niedopuszczającej do niego żadnego lodowego odłamka. Cassimir na szczęście schował się za swym protegowanym.

– Dobra robota! Świetnie ci idzie, Joseph! – skomentował Wielki Mistrz. Cassimir nie krył dumy, w końcu sam uczył Josepha tego ruchu, który do najprostszych nie należał. W zasadzie był to pierwszy raz, gdy młodemu zwiastunowi udało się go wykonać poprawnie.

– A tobie za to niezbyt! Jeśli czegoś nie zrobimy, to... – Joseph nie dokończył, gdyż nagle przez jego ognistą barierę przeskoczył... ork. Wielki, szary, z kłami na wierzchu oraz oczami wypełnionymi gniewem i chęcią mordy zamachnął się na Josepha wielgachnym toporem. Gdyby nie szybka reakcja Cassimira i jego blok ostrzem, to młody templariusz straciłby głowę.

– Czy to ork?! – spytał z niedowierzaniem Joseph, chcąc zamachnąć się na szaroskórego wojownika swoim zgaszonym już ostrzem. Ten jednak okazał się niezwykle zwinny i uniknął natarcia. Gdy zaś Cassimir próbował go dosięgnąć, w jego kierunku powędrowały lodowe sople, o mały włos nie przebijając mu głowy. Na szczęście zdołały tylko zadrapać pordzewiały hełm.

– Nie możemy być pewni! Znałem kapłana, co wyglądał podobnie paskudnie, gdy musiał wstać rano. Może po prostu go obudziliśmy przed

czasem?! – zażartował Cassimir. Nawet podczas walki, a może zwłaszcza podczas walki, nie chciał tracić dobrego humoru. Z jednej strony nie przepadał za zbędnym rozlewem krwi, ale z drugiej... kochał szermierkę. Ekscytacja związana z tym, że jeden zły ruch może doprowadzić do jego śmierci, wypełniała go radością równie wielką, co zjedzenie ukochanego naleśnika.

– Ta dziewczyna nie jest zwykłym magiem! – skomentował Cassimir, widząc jak błękitnowłosa, używając magicznych gestów, tworzy z powietrza kolejne lodowe pociski, lecz tym razem nie w formie sopli, a mniejszych kul, podobnych do tych opuszczających pistolety zwiastunów.

– No co ty nie powiesz! – odpowiedział Joseph, unikając kilku kul i blokując kolejne natarcie orka.

W tym momencie Cassimir wystrzelił z pistoletu w stronę dziewczyny, ale kula jej nie dosięgnęła, gdyż tuż przed nią nagle zerwało się powietrze tak zimne, że pocisk zamarzl, a potem rozpadł się na drobne fragmenty jak zbita porcelanowa waza.

Wielki Mistrz spojrzał na swoją broń. Miał trzy lufy, a to oznaczało trzy wystrzały przed przeładowaniem. Pozostał mu tylko jeden. Jeśli miał zamiar zakończyć tę walkę, to ostatni pocisk musiał być celnym. I wtedy... zauważył coś, co wcześniej mu umykało. Błękitnowłosa nasilała swoje magiczne ataki, ilekroć jej orkowy towarzysz był zagrożony. Postanowił sprawdzić swoje domysły i ponownie spróbował zaatakować orka, podczas gdy Joseph ruszył ku dziewczynie. Ork od razu otrzymał wsparcie od swej towarzyszki, która z gniewem obrzuciła zwiastuna lodowymi soplami. Ataki te były mniej subtelne niż pozostałe, bardziej odruchowe, nieprzemyślane i chociaż Josephowi nie udało się dosięgnąć błękitnowłosej czarodziejki, gdyż odepchnęła go pod ścianę potężnym, zimnym podmuchem, to w głowie Cassimira pojawił się plan.

– Joseph! Tak jak w Rodmarchii! Na dwa! – krzyknął do podopiecznego, po czym ruszył ku dziewczynie, rozpalając swój miecz tak, jak wcześniej zrobił to Joseph.

W tym czasie młodszy templariusz zaatakował orka. Dziewczyna zgodnie z oczekiwaniami wsparła szaroskórego towarzysza swymi zakłęciami i wtedy Cassimir zamachnął się na nią mieczem.

Ogień z ostrza przegrał z potężną, lodową ścianą i zgasł. Pewna siebie dziewczyna już chciała zaatakować zwiastuna, gdy nastąpił huk, a ona poczuła ból z boku. Joseph tylko udawał, że skupił się na orku. W rzeczywistości przez cały ten czas czekał z pistoletem w ręku, by wystrzelić na ślepo w stronę dziewczyny. Miał na tyle wprawy, że trafił bez problemu, a gdy dziewczyna upadła, ork zaryczał wściekle, rzucił się swym szarym cielskiem na Josepha i przygniótł go do ziemi. Jednak nim zdołał zmiażdżyć mu czaszkę, Cassimir wystrzelił, trafiając go prosto w głowę.

Brutal zginął na miejscu, a młody templariusz zrzucił z siebie jego zwłoki, czemu przyglądała się bezradnie błękitnowłosa.

– Kim jesteś? – spytał krwawiącą dziewczynę Cassimir, ale w odpowiedzi dostał jedynie krzyk, a wraz z nim w pomieszczeniu narastała coraz większa burza śnieżna, jakby nagle ta jedna komnata stała się epicentrum zamieci wszech czasów.

Z podłogi wyrastały kolejne lodowe kolce, przebijając całą katedrę na wskroś. Fragmenty starego sufitu opadały jeden po drugim. Dziewczyna skierowała ku Cassimirowi lodowy podmuch tak silny, że zwiastun uderzył o przeciwną ścianę. Joseph był tym, który pierwszy zdołał dobiec do błękitnowłosej. Mógł ją w każdej chwili zabić, ale... zwątpił. W jego oczach była jedynie zapłakaną dziewczyną, a nie potworem.

Ona nie miała takich skrupułów i nagle przez brzuch Josepha przeszedł lodowy sopel.

– Joseph! – wrzasnął Cassimir, rozpalając swój miecz po raz kolejny.

Za każdym razem, gdy to robił, czuł, jak jego głowa pęka z bólu, a myśli wypełniają obce głosy, ale mimo to nie miał więcej asów w rękawie. Musiał wykorzystać magię przeciwko magii.

Dłonią zgarnął płomień z ostrza, jakby była to po prostu jakaś warstwa nalotu i cisnął ognistą kulą przed siebie. Nie miała szans dotrzeć do dziewczyny, ale utorowała nieco drogę przez zamieć. Potem poleciała następna

kula i następna, a każda pozwalała Cassimirowi na kolejny krok, aż w końcu znalazł się tuż przy niej. Widział wyraźnie jej zapłakaną twarz pokrytą bólem, jakiego nie dało się pomylić z niczym innym – złamanego serca. Widział też jej oczy, piękne, zielone, niewinne. Ich spojrzenia spotkały się. To było dziecko. Zwyczajne dziecko. Miała może siedemnaście lat. Cokolwiek tu robiła, zapewne miała ku temu powód. Gdyby tylko nie zaatakowała... gdyby tylko spróbowała porozmawiać...

Cassimir wiedział, że jeśli nie skończy tego teraz, to podzieli los Josepha, dlatego zamknął oczy i zgaszonym ostrzem przebił pierś dziewczyny.

Burza gwałtownie ustała i chociaż pozostawiła po sobie ślady w postaci zniszczeń i tysięcy sopli, to gdyby nie to, mogłoby się wydawać, że nigdy jej nie było. Dziewczyna upadła na podłogę i zaczęła czołgać się ku martwemu orkowi.

– Trukk... – wyszeptała cała zapłakana. Chciała chwycić go za dłoń, ale nie sięgała.

Cassimir przyglądał się tej scenie, nie mogąc wymyślić żadnego śmiesznego komentarza, który mógłby poprawić mu nastrój.

Minęła chwila, nim rzucił miecz w bok i podbiegł do czołgającej się dziewczyny. Chciał ją opatrzyć, pomóc, ale gdy dotknął jej pleców...

Dziewczyna zamknęła oczy.

III. Keeva

To był tylko sen. Tylko zły sen.

Żyła, chociaż wciąż zdawało jej się, że jest w mrocznej katedrze, gdzie czołga się ku martwemu orkowi.

Czy widziała swoją przyszłość? A może jakąś odległą przeszłość?

Tak jak zawsze – nie potrafiła jednoznacznie powiedzieć. W większości przypadków jej sny nie oznaczały niczego konkretnego. Widziała obrazy, których nie rozumiała, i chociaż jej matka twierdziła, że mogą one przedstawiać to, co będzie lub już było, to nigdy nie zdołała potwierdzić tej teorii.

Te wizje były po prostu irytującymi koszmarami, które po raz kolejny oderwały ją od snu, a przecież potrzebowała go jak najwięcej. Musiała mieć siły, by dobrze służyć swym panom, jeśli miała pozostać przy życiu.

Tylko będąc użyteczną, pozostawała żywa, lecz... dlaczego w ogóle chciała pozostać żywą? Jaki był sens przedłużać cierpienie, jakiego doświadczała każdego dnia?

Wstała z posłania i założyła swoje onuce. Potem przywdziała futrzane, rozpadające się buty i narzuciła na siebie grubą kamizelkę z niedźwiedziej skóry. Tak ubrana mogła zmierzyć się z przerażającym chłodem, jaki czekał na nią w pomieszczeniu obok. Przemknęła między pozostałymi, wciąż śpiącymi niewolnicami i dotarła do pokoju z oknem bez szyby. Przez nie do pomieszczenia dostawał się wraz z chłodnym wiatrem biały śnieg. Musiała go pokonać, by dostać się na parapet. Stała na nim i spojrzała w dół, ku ciemności, jaka wciąż panowała nad okolicą.

Chłód smagał jej młodą twarz, a rozpuszczone złote włosy tańczyły delikatnie jakby dmuchane przez malutką, niewidzialną istotę.

Zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i rozpostarła dłonie na boki, pozwalając, by i one poczuły podmuchy mroźnego wiatru. Przypomniała sobie, jak beztrudnie ścigała się ze swoją mamą wśród ogromnych świerków. „Kto ostatni przy strumyku ten śmierdzi!” – krzyczała. A gdy już były na miejscu, napełniały wiadra wodą i wracały do swej bei, tak bowiem jej lud zwał swoje ruchome domy. Pochodziła z Mahal-Ara, jednej z krain mroźnego Larush.

Mahalczycy, jej lud, nie posiadali królów, miast czy wspólnego państwa. Mieli tylko rodziny i ich beje – wielkie karawany.

Tak bardzo tęskniła za tym widokiem, za wielkimi wełnowołami ciągnącymi ogromne wozy mieszkalne, które potrafiły pomieścić wielodzietną rodzinę. Za opowieściami, jakimi wieczorami przy ognisku dzielili się starzy kohowie – ci, którzy znali historię oraz świat poza Larush. Świat, o którym marzyła każdego dnia. Pragnęła ujrzeć to miejsce, zobaczyć te wszystkie cuda, o jakich jej opowiadano. Wieżę – miasto sięgające chmur, śpiącego giganta oraz miasta z kamieni i stali.

Wtedy każdego dnia planowała swoją ucieczkę z domu, szukała sposobu, by zostawić rodzinną beję i udać się za Góry Iraada, do świata zewnętrznego. Teraz... bardzo pragnęła tam wrócić, raz jeszcze przytulić się do mamy, powiedzieć, jak bardzo ją kocha, bo przecież tak rzadko jej to mówiła, o ile w ogóle kiedykolwiek jej to powiedziała. Nie była pewna, ale wołała wierzyć, że zdążyła jej to powiedzieć, nim... przybyli orkowie. Szaroskórzy mordercy szukający pożywienia.

Nie potrafiła myśleć o domu bez przywoływania wspomnienia świętych wełnowołów zarzynanych na jej oczach. Czuła każde wprowadzone w nie pchnięcie, słyszała wyraźnie ryk każdego z nich. I mogła tylko patrzeć. Patrzeć, jak jej wóz mieszkalny płonie, a mężczyźni z bei giną w nierównej walce z o wiele liczniejszym przeciwnikiem.

„Walcz” – powtarzała sobie wtedy w głowie. W końcu była wojowniczką, czyż nie? Każdy Mahalczyk musiał być wojownikiem, tego wymagało przetrwanie w Larush.

Ale ona nie potrafiła walczyć. Nie umiała znaleźć w sobie odwagi, by chwycić za włócznię i walczyć z najeźdźcą. Pokonał ją ściskający ból brzucha przerażenia i nierówny oddech paniki.

I dlatego uciekła.

Biegła i biegła, próbując po prostu przeżyć. Przeskakiwała nad płonącymi drzewami, unikając spadających na nią gałęzi. Gdy inni walczyli i umierali, jak na Mahalczyków przystało, ona starała się przeżyć za wszelką cenę, udowadniając sobie dobitnie to, co tak naprawdę wiedziała od zawsze – była słaba.

Nie potrafiła sprostać wymaganiom swojej bei, chociaż bardzo się starała. Próbowала ze wszystkich sił stać się taka jak reszta, udowodnić swoją siłę i spryt, ale... ilekroć próbowała, kończyło się tak samo, czyli porażką. To właśnie przez to nigdy nie zainteresował się nią żaden mężczyzna i rozumiała to. Jej słabość obrzydzała także ją.

Nawet w ucieczce nie była wystarczająco dobra. Orkowie ją pojмали, tak jak pozostałe kobiety. Mężczyzn zabito od razu i rzucono do rzeźni, by zmienić w kolejny obiad, a kobiety dokładnie sprawdzono. Tylko „czyste” mogły służyć Wielkiej Matce. Pozostałe zgwałcono, zjedzono lub jedno i drugie.

Czy mogła nazywać się szczęściarą, ponieważ nigdy nie miała stosunku z mężczyzną? Czy naprawdę śmierć wtedy nie byłaby lepsza od tego, co teraz musiała znosić? Usługiwała w końcu tym, którzy zniszczyli jej dom i pożarli rodzinę. Na samą myśl robiło jej się niedobrze.

Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz słyszała szum potoku lub śpiew ptaków.

Wydawało się, jakby świat stracił resztkę swego piękna, stając się szarym jak jej obrzydliwi ciemiężcy.

Jeden krok dzielił ją od odpoczynku, ucieczki przed kolejnym dniem niewolniczej pracy u tych bestii. Wystarczyło zamknąć oczy i lekko się przechylić, a upadek zrobiłby resztę. Zapewne nawet nie zdążyłaby poczuć bólu. Wszystko skończyłoby się w jednej chwili. Nie byłoby więcej koszmarów, batożenia i poniżania. Inne „czyste” niewolnice też to

rozważały, niektóre nawet wybrały tę drogę, na co orkowie zdawali się nie zwracać uwagi. Czy sprawiało im radość obserwowanie, jak zapłakane dziewczyny skaczą ku swej zagładzie? Jakim chorym ludem były te szaro-skóre bestie?

Wystarczyła jedna decyzja. Jedna, odważna decyzja. Nie miała siły, by walczyć wtedy, więc równie dobrze mogła się poddać teraz. Skończyć to na własnych warunkach, lecz... Nie pierwszy raz stała w tym miejscu i zapewne nie ostatni. Przychodziła tu codziennie po przebudzeniu, wracając myślami do tych strasznych chwil, by zdobyć się na odwagę i wykonać ostatni krok.

„Ty tchórze” – powiedziała do siebie w myślach. „Ty przeklęty tchórze”.

Nie mogła tego zrobić. Nie potrafiła znaleźć żadnego sensownego wytłumaczenia, dla którego miałyby kontynuować tę namiastkę egzystencji, ale mimo to wciąż coś ją blokowało, nie pozwalało odejść z tego świata. Jakaś ostatnia, świecąca niemal niezauważalnym blaskiem iskierka w jej sercu chciała, by kontynuowała to cierpienie, by dalej mierzyła się z bólem i swoim własnym odbiciem, którym gardziła bardziej niż czymkolwiek innym.

– Keeva? – odezwał się głos za jej plecami.

– Maeve? Dlaczego nie śpisz? – spytała złotowłosa Keeva, podbiegając do nieco młodszej od siebie Maeve. Widząc, że dziewczynka miała na sobie jedynie nocną koszulę, Keeva narzuciła na nią swoje niedźwiedzie futro. – Tu jest za zimno, by wychodzić nieubraną! Coś ty sobie myślała! – kontynuowała Keeva, popychając dziewczynkę do pomieszczenia sypialnego.

– Nie mogłam zasnąć, a gdy zobaczyłam, że idziesz do tego pokoju, to... to... – Maeve posmutniała i nagle rzuciła się na szyję przyjaciółki, wtulając twarz w jej ramię. – Proszę...nie idź tam, proszę...

– Chciałam tylko zaczerpnąć świeżego powietrza – skłamała, ale nie mogła otwarcie przyznać się do swoich myśli, a już na pewno nie przed Maeve, która była uważana przez pozostałe niewolnice za najsłabszą,

najbardziej kruchą, dlatego wszystkie próbowały się o nią troszczyć jak o młodszą siostrę, żeby trzymać jej umysł z dala od myśli o ponurej rzeczywistości, w jakiej się znalazły.

– Gdy Ari tam poszła... to już nie wróciła. Nie chcę cię stracić tak jak jej! – mówiła dalej szlochająca Maeve.

Keeva otarła jej łzy i użyła całej dostępnej sobie energii, by wygiąć wargi w jak najbardziej naturalnym uśmiechu. Nie była pewna, czy efekt rzeczywiście był taki, jaki chciała, ale nie potrafiła wykrzesać z siebie więcej, a już na pewno nie, patrząc prosto w błękitne oczy Maeve, tak bardzo przypominające oczy jej mamy.

– Miałabym cię tak po prostu zostawić? Daj spokój, Maeve! Gdzie bym znalazła kogoś, kto robi tak dobry chleb z ganlicy? – Keeva skłamała po raz kolejny. Wszystkie niewolnice wiedziały, że chleb Maeve jest ohydny, ale nikt nie oczekiwał niczego innego po czymś z ganlicy.

Była to roślina występująca w zasadzie tylko w Larush, podobno efekt jakichś magicznych eksperymentów, który miał zwalczyć głód. Orkowie wierzyli natomiast, że to podarek od Wielkiej Matki, która w ten sposób chciała zapełnić ich brzuchy. Może było w tym trochę prawdy, bo tylko orkowe bóstwo byłoby w stanie stworzyć tak paskudną roślinę. Rosła niezależnie od pory roku i nawet w ekstremalnych warunkach, ale jej zbieranie zawsze liczyło się z problemami. Była twarda i pokryta cierniami kaleczącymi dłonie. Po przetworzeniu dało się z niej zrobić jakiś chleb lub ciasto, ale smak czegoś ganlicowego zawsze pozostawał tak samo gorzki. Zupełnie, jakby jadło się samo Larush.

– Jak twoje dłonie? – spytała Keeva, przyglądając się palcom swojej przyjaciółki. – Widzę, że się goją.

– Maść od Fiann pomogła.

– Masz wiele szczęścia, czasem ciernie potrafią tkwić tygodniami. Lepiej wymyśl, jak podziękować Fiann za pomoc. – W momentach takich jak ten Keeva przez krótką chwilę zapominała, gdzie jest, a jej twarz zdobił dla odmiany prawdziwy uśmiech, acz ledwie widoczny. Codziennie była świadkiem, jak uwięzione „czyste” dziewczyny pomagały sobie

nawzajem, co mocno je do siebie zbliżyło mimo pochodzenia z różnych bei, a czasem nawet zupełnie innych krain.

Były tu Mahalki takie jak ona, a każdą pokrywały inne tatuaże – znak rozpoznawczy ludów Mahal-Ara. Każdy, niezależnie od płci, otrzymywał w wieku dwunastu lat tatuaż pokrywający cały tułów. Jego kolor i symbolika różniły się w zależności od bei, ale każdy był na swój sposób unikalny w swym wzorze. Ciało Keevy, podobnie jak wszystkich z jej bei, pokrywał tatuaż o czarnym, wręcz smolistym kolorze, wzór zaś układał się w coś, co nieco przypominało skrzydła. Ten tatuaż na co dzień pozostawał jednak ukryty, w przeciwieństwie do tego zdobiącego jej głowę. Zaczynał się przy prawym oku i dosłownie wylewał się niczym wielka łąza, tworząc wodospad czerni pokrywający znaczną część twarzy i kończący się dopiero na szyi.

Maeve miała natomiast żółte barwy i wzór na „niedźwiedzi pazur”. W przeciwieństwie do Keevy nie zdążyła otrzymać swego tatuażu na twarzy.

Za przywódczynię uchodziła Fiann, pochodząca z innej krainy w Larush zwanej Wolwokią. Wolwokowie byli bardziej cywilizowani niż Mahalczycy i obrali osiadły tryb życia w kontraście do wiecznej wędrówki ludów Mahala. Wolwoków kojarzono z dwoma rzeczami: wiecznymi starciami z imperium oraz... szaleństwem. W ich kulturze regularnie przyjmowano różne specyfiki wytwarzane z kwiatów zwanych dragoferami lub po prostu smoczymi łzami. Smocze Łzy rosły tylko na zboczach świętej góry Wolwoków – Białego Stropu, i posiadały niesamowite właściwości, różniące się w zależności od sposobu przetworzenia rośliny. Czasem substancje z niej poprawiały percepcję, a czasem zwiększały siłę. Miały jednak tę samą wadę – mocno uzależniały i wyniszczały umysł, doprowadzając go do stanu, gdy trudno było określić, czy Wolwok w ogóle jest dalej człowiekiem, czy też stał się czymś zupełnie innym, bytem żyjącym między światem rzeczywistym i urojonym. Stąd być może wzięły się plotki, jakoby mieszkańcy Wolwokii skrywali w sobie drugą, dziką naturę.

– Pobudka! Pobudka! Pobudka! Wszystkie wstawać! Tak! Wstawać! Po-
ra wstawać! – krzyczała czerwonołosa Fiann, kiwając się na siedząco
na łóżku. Dociskała kolana do piersi, wpatrując się swoimi zamglonymi
oczami w pusty punkt przed sobą.

– Musisz się tak drzeć? – spytała dziewczyna, która zupełnie nie paso-
wała do reszty, wyróżniając się pod każdym względem.

Jej skóra była bladoczerwona, włosy białe jak mleko, głos miał w sobie
dziwną chrapliwość, a oczy wzbudzały grozę. Jej gałki oczne były czarne
jak smoła, w której osiadły bursztynowe tęczówki otaczające białe, ko-
cie źrenice, rozszerzające się i kurczące gwałtownie w zależności od ilości
światła.

Należała do gatunku zwanego szaszanami. To oni stworzyli stare im-
perium zwane szaszanhalskim, na którego fundamentach świat istniał
po dziś dzień. Ich spuścizną była chociażby unifikacja języka. Pomimo że
w niektórych miejscach wciąż istniały społeczeństwa posługujące się swy-
mi własnymi językami, to większość świata korzystała w stopniu płynnym
z języka znienawidzonych szaszanów rządzących niegdyś niemal całym
znanym ówczesnie światem.

Gdy pierwsze promienie słońca wtargnęły do komnaty, wszystkie nie-
wolnice były już gotowe do wyjścia. Wiedziały dokładnie, gdzie muszą się
udać i co robić. Ich orkowi panowie nie zwracali na nie większej uwagi,
dopóki nie było to absolutnie konieczne. W końcu i tak nie miały dokąd
uciec, znajdowały się bowiem na krańcu znanego świata, za wiecznie za-
marzniętym morzem, na południowym biegunie, w jedynym stworzonym
przez orków mieście zwanym Łonem.

Otoczone błękitnymi lodowcami Łono było bardziej zbiorowiskiem
wysokich, połączonych ze sobą zigguratów – świątyń, aniżeli pełnopraw-
nym miastem w normalnym tego słowa znaczeniu. Kamiennymi, skutymi
lodem ulicami miejscowości zawsze kręciło się mnóstwo orków, wędrując
od zigguratu do zigguratu w sobie tylko znanych celach. Na szczytach
tych ogromnych tarasowych struktur zawsze znajdowała się kaplica po-
święcona Wielkiej Matce, gdzie orkowie składali swe dary. Samo życie

codzienne toczyło się zaś we wnętrzu tych zigguratów i to właśnie w jednym z nich trzymano niewolnice.

Keeva nienawidziła Łona. Już sama nazwa napawała ją obrzydzeniem. Jej zdaniem tylko ork mógł wpaść na tak głupie określenie. Nazewnictwo było jednak najmniejszym powodem do narzekań. Na każdym kroku wi-tały ją przerażające rzeźby mające przedstawiać Wielką Matkę, zazwyczaj w dwuznacznych pozach i dość często podczas porodu. Orkowie wyobrażali ją sobie jako nagą kobietę, o dziwo ludzką z wyglądu, bez kłów czy szarej skóry. Miała zawsze rozpuszczone czarne włosy, puste czerwone oczy oraz skórę koloru księżyca w pełni. Niekiedy nosiła koronę dekorowaną różami, a czasem po prostu diadem. Zawsze jednak występowała w towarzystwie węży, które wiły się czy to wokół jej piersi, czy kończyn. Z pewnością miała w sobie coś upiornego, spoglądając na swój lud z góry, z wyższością, jak człowiek obserwujący robaka, którego może w każdej chwili zmiażdżyć.

Dziewczyna starała się po prostu jak najszybciej przebyć swoją drogę do celu, nie wchodząc w interakcje z nikim i niczym. Niestety, nigdy się to nie udawało. Zawsze zaczepiał ją jakiś ork, który popychał ją dla żartu lub z frustracji. Nic ich bardziej nie denerwowało niż ludzka dziewczyna, jakiej nie mogli mieć. Keeva była czysta, a to oznaczało, że miała służyć Wielkiej Matce, żaden ork nie miał prawa jej zhańbić. Taka zbrodnia, nawet na niewolnicy, była karana śmiercią.

Tego dnia również nie obeszło się bez zatargów z orkami. Dwóch z nich kłóciło się o kawałek zgniłego mięsa i omal nie skoczyli sobie do gardeł, ale gdy ujrzeli Keevę, jeden z nich od razu zablokował jej drogę, podczas gdy drugi oblizal jej policzek niczym wilk kosztujący świeże mięso. Tylko na tyle mogli sobie pozwolić. Mahalka zdążyła się już przyzwyczaić do tych wybryków i chociaż w myślach pragnęła śmierci każdej z tych bestii, to zdawała sobie sprawę, że nigdy nie odnalazłaby w sobie odwagi, by się im sprzeciwić. Dlatego z opuszczoną głową po prostu szła przed siebie, mijając kolejne uliczki tworzone przez stojące obok siebie zigguraty.

Skala tego miejsca w połączeniu z otaczającymi je wysokimi lodowcami potrafiła przyprawić o ból głowy, ciągle manewrowanie między poszczególnymi tarasami zigguratów nadwyrężało zaś mocno mięśnie, co jedynie potęgowało niechęć Keevy do tego przekłętego miasta.

W końcu minęła grupkę walczących obok siebie szaroskórych, co w ich kulturze nie było niczym nadzwyczajnym. Dla orków wszystko było pretekstem do walki, nawet krzywe spojrzenie. Potem skierowała się do rzeźni, czyli jurty ustawionej na tarasie jednego z zigguratów, gdzie oddelegowany ork zajmował się krojeniem na kawałki... martwych orków. Nic się nie marnowało, nawet ciała zmarłych braci. Orkowie uważali, że to zaszczyt, gdy twoje ciało zostanie zjedzone po śmierci, by w ten sposób dać życie pozostałej części plemienia.

Keeva nie podzielała tego myślenia i zawsze, gdy przybywała do rzeźni, modliła się do Stwórcy, aby nie trwała tam akurat praca. Tym razem modlitwa podziała, ale nie zawsze tak było. Kilka razy musiała oglądać, jak rzeźnik kroi wielkim toporem zmarłe niewolnice, kilka z nich nawet знаła z imienia.

Z rzeźni odebrała kosz z mięsem i ruszyła z nim w dalszą drogę, kierując się do samego centrum miasta wyznaczonego przez najwyższy ze wszystkich zigguratów – Dom Wielkiej Matki. Jego pierwszy taras posiadał ogromny basen wypełniony zakrwawionymi, ostrymi kolcami, na których wciąż ponadziewane były stare szkielety orkowych ofiar. Zaraz za nim ku niebu pięły się niezwykle szerokie schody, a z ich boków wyrastały dwie kamienne ręce, wędrujące razem ze stopniami ku górze. Na szczycie olbrzymie dłonie spletały się, tworząc szczyt zigguratu, zza którego wyłaniała się wykuta w lodowcu twarz zdeformowanej kobiety. Zamiast oczu wlepiono jej dwa gargantuicznych rozmiarów czerwone klejnoty. Z rozwartych we wrzasku ust kamiennej postaci wydobywał się czarny dym, opadający na splecione dłonie poniżej. Chmura ta powoli rozchodziła się na boki zigguratu, docierając aż do jego podnóży i wypełniając ulice nieprzyjemnym zapachem.

Keeva, jak zwykle w tym miejscu, zatkała nos i ruszyła czym prędzej w górę, mijając basen z kolcami oraz ustawione przy nim rzeźby o niezrozumiałych dla niej kształtach. Pokonanie schodów trochę jej zajęło, ale w końcu udało się jej dotrzeć pod splecione dłonie, gdzie czekały na nią kolejne stopnie – tym razem w dół, w głąb świątyni. To był najgorszy moment całej wyprawy. Nie dość, że korytarz był słabo oświetlony, to w zasadzie nie było stopnia, który nie byłby pokryty krwią, a ta zdawała się w tym miejscu nigdy nie wysychać. Dziewczyna podejrzewała, że to efekt orkowej magii, ale nigdy dłużej się nad tym nie zastanawiała. Uważała orków i ich kulturę za wynaturzenie i nie miała zamiaru zaprzętać sobie nimi myśli.

Po przejściu krwawych stopni znalazła się w labiryncie korytarzy, gdzie jęki i krzyki stały się już stałym gościem. W mijanych pomieszczeniach dostrzegała orczyce kopulujące z orkami różnych plemion tylko po to, by po skończeniu poderżnąć im gardła. W ten sposób mężczyźni orków mogli przydać się podwójnie: płodząc ewentualnego potomka i oddając swą krew Wielkiej Matce.

A tej orkowie potrzebowali wiele. Bez krwi nie było magii, a bez magii Łono by nie przetrwało.

Keeva zatrzymała się na chwilę przed wielkimi drzwiami i odgarnęła z twarzy kosmyk złotych włosów. Walczyła z nim całe życie i chociaż kilka razy go przycinała, odrastał na tyle szybko, że dała sobie z tym spokój.

Cel Keevy znajdował się tuż przed nią. Na samą myśl o wkroczeniu tam zrobiło jej się niedobrze. Nieważne, jak wiele razy już to widziała, widok ten szokował ją za każdym razem tak samo. Wzięła zatem głęboki wdech i policzyła do trzech, a potem gwałtownie pchnęła drzwi. Tak też znalazła się w wielkim pomieszczeniu pełnym ciężarnych orczy. Leżały na futrach w różnych częściach pokoju, niezdolne do przemieszczania się na własnych nogach. Orczyce w przeciwieństwie do ludzi, gdy zachodziły w ciążę, wydawały na świat przynajmniej dwadzieścia orcząt i była to raczej dolna granica. Nawet Keeva słyszała o przypadkach, kiedy orczyca doczekała się osiemdziesiątki dzieci i chociaż kiedyś dziewczyna nie

dawała wiary tym opowieściom, to teraz była przekonana, że byłyby one w stanie pomieścić w sobie nawet o wiele więcej potomstwa. Ciała orczy w ciąży stawały się wielkie, osiągając granice absurdu. W tym stanie nie mogły się nawet same podrapać, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych czynnościach. Zresztą, przez większość czasu i tak spały, budząc się tylko raz na kilka dni, by się najeść.

Ich zdeformowane w ten sposób ciała stawały się tak obrzydliwe i śmierdzące, że przy pierwszych kontaktach z nimi Keewa wielokrotnie wymiotowała. Nawet teraz, będąc już „zaprawioną w bojach”, miała trudności z powstrzymaniem zawartości żołądka na swoim miejscu.

Razem z koszem podeszła do jednej z ciężarnych orczy i stanęła na wysokim taborecie obok. Tylko tak mogła dosięgnąć do jej głowy, by nakarmić ją mięsem z koszyka. Gdy skończyła, chwyciła za ścierkę i zaczęła przecierać ciało ciężarnej zimną wodą, by chociaż odrobinę je oczyścić. Potem nadszedł czas na posprzątanie fekaliów, które samica wydalila z siebie zaraz po jedzeniu.

– Ty! Tak, ty! – krzyknęła jakaś orczyca stojąca w drzwiach.

Na początku Keewa zignorowała wezwanie, nie wierząc, że ktokolwiek może się do niej zwracać bezpośrednio, bo i po co? Dostała już przecież swój przydział obowiązków na ten miesiąc. Gdy jednak zakrzyknięcie się powtórzyło, obróciła się, dostrzegając, że wzywa ją do siebie jedna z szamanek. Od reszty orków odróżniała je... uroda. Orkowe szamanek, nawet jak na ludzkie standardy, były wyjątkowo zadbane i niekiedy naprawdę piękne. Nie umniejszało to jednak ich dzikości. Ta konkretna miała wyraźnie zarysowane kły, a jej ciało zdobiła biżuteria z ludzkich kości.

Keewa podbiegła do szamanek i ukloniła się, tak jak była uczona. Czekwała na dalszą część rozkazów, ale te nie nadeszły. Zamiast tego szamanek uważnie przyjrzała się dziewczynie, oglądając ją z każdej strony po kilka razy. Na końcu chwyciła za jej podbródek i obróciła głowę, badając policzki.

– Za mną łaziesz. Łazaj! – powiedziała swym orkowym dialektem.

Dziewczyna bez pytania ruszyła za szamanką, aż razem znalazły się w komnacie wypełnionej starymi księgami, a także słoikami z przeróżnymi reagentami. Od tak pospolitych jak zeschnięta trawa po kawałki serc jelit i wątrób.

Na środku sali leżała martwa niewolnica. Wyglądała, jakby przed śmiercią wszystkie żyły w jej ciele eksplodowały. Obok niej znajdowała się rozbita butelka.

– Sprzątaj ją. Byle szybko. Do rzeźnika taszczaj resztki, a potem łazaj do mnie tutaj. Miejsce jej twoje teraz.

IV. Cassimir

Nie była pierwszą tak młodą osobą, jaką musiał zabić. Najwyższy Kościół wielokrotnie wysyłał go na misje zlikwidowania niebezpiecznego dziecka, którego moc mogła rozerwać zasłonę między światami, jaką Zbawca ustanowił przez swoją śmierć. Po drugiej stronie tej zasłony czekała jedynie ciemność i wrogowie wszystkiego, co pochodziło od Stwórcy.

Nie widział problemu w tych rozkazach, rozumiał je. Wykonywał je dla dobra świata. Śmierć tych pojedynczych osób zapewniała bezpieczeństwo setkom. Gdy zaś został Wielkim Mistrzem, wielokrotnie sam wysyłał swych templariuszy na podobne misje.

Ktoś przecież musiał to zrobić. To nie było złe. To było konieczne. Zgładzał demony oraz tych, którzy sprzeciwiali się zasadom Najwyższego Kościoła! Wrogów, za którymi nikt nie płakał.

Więc dlaczego teraz czuł się tak podle? Dlaczego, ilekroć zamykał oczy, widział czołgającą się błękitnowłosą dziewczynę? Czy była to вина odkrycia prawdy o Zbawcy?

Do tej pory się nad tym nie zastanawiał, ale teraz przez głowę Cassimira wędrowała jedna, dość niepokojąca myśl. Skoro jego wiara okłamała go w kwestii ciała Zbawcy, to czy nie okłamano go także w sprawie zasłony między światami? Czy w ogóle istniała? Czy miała związek z magią tego świata? I czy naprawdę musiał zabijać te wszystkie osoby?

– Byłem synem grzesznym, szukającym odpowiedzi. Ty mi je zesłałeś, Panie Niebieski, Panie Świata, Panie Życia i Żyjących. I chociaż obarczyłeś mnie ciężkim brzemieniem...

– ... będę je niósł, bo taka twa wola – dokończył cicho Joseph, otwierając oczy.

– Proszę, proszę, kto się obudził. Pan szaszłyk wraca do żywych! – skomentował Cassimir. Oczywiście musiał przywitać towarzysza żartem, tylko tak potrafił przetrwać emocje, jakie mu towarzyszyły.

Czuwał nad swym towarzyszem kilkanaście godzin, bojąc się, że Joseph już nigdy się nie przebudzi. Modlił się przez cały ten czas, błagając Stwórcę o interwencję. Chciał mieć pewność, że zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Nigdy mu tego nie powiedział, ale zależało mu na nim bardziej niż na jakimkolwiek innym templariuszu. Joseph był dla niego jak syn i jego strata byłaby dla Cassimira druzgocąca. W zasadzie to nie wyobrażał sobie świata, w którym pozostałby bez niego, bez swego najwierniejszego ucznia.

I chociaż wiedział wszystko o swych uczuciach i wielokrotnie analizował je w swojej głowie, to nigdy nie wypowiedział ich na głos. Nie był w stanie, to po prostu nie było w jego stylu. Dlatego chował się zawsze za żartami, licząc, że swoim pogodnym usposobieniem nadrabia wszelkie braki emocjonalne.

– Gdzie jesteście? – spytał zdezorientowany Joseph.

– Niedaleko katedry – odparł zgodnie z prawdą Cassimir.

– Walczyliśmy z dziewczyną... co się z nią stało?

Cassimir uciekł przed spojrzeniem Josepha i wyraźnie posmutniał.

– Wygraliśmy – odpowiedział z wymuszoną radością. Nie miał zamiaru przyznawać się, jak musiał porzucić ciało dziewczyny tam, gdzie ją zabił.

– Kim była? Co tam robiła?

– Czekaj... zapytam ją... Ano tak! – zażartował Cassimir. Już w trakcie mówienia tego zdania czuł się brudny, że w ogóle ośmiela się podchodzić tak luźno do tego tematu.

– Czyli nie wiesz – skwitował Joseph, wlepiając spojrzenie w sufit jaskini, do której przyniósł go zwierchnik. – A ork? Co tam robił ork?

– Nie wiem, może był turystą?

– Bardzo zabawne.

– Staram się, dziękuję.

– Więc... czy wiemy cokolwiek? – dopytywał coraz bardziej zirytowany Joseph.

– Wybacz, że nie znam wszystkich odpowiedzi, bracie, ale nie wiem, kim była ta dziewczyna, co tam robiła ani jak dostała się do tego przekłętego zadupia i to z orkiem jako towarzyszem! – Cassimir nieco podniósł swój głos. Nie był zdenerwowany na Josepha, lecz na całą tę sytuację.

Rzeczywiście templariusze pozostali z niczym. Po tak długiej wyprawie jedyne, co udało im się osiągnąć, to odnaleźć ciało Zbawcy, wstrząsając tym samym fundamentami własnej wiary.

– Więc... co teraz? Czy mag się odzywał? Pokazał się? Wysłał magiczną chmurkę? Cokolwiek? – Młodszy templariusz spróbował się podnieść, ale wtedy przeszył go przeraźliwy ból.

– Nie odzywał się. Nie widziałem go, odkąd znaleźliśmy sarkofag. A ty przestań się ruszać, bo mi tu zemdlejesz. To cud, że przeżyłeś, a już chcesz wstawać? Poleż trochę, rozkoszuj się chwilą, spójrz na wspaniałe widoki zrujnowanego świata. Czego chcesz więcej? Masz miejsce w pierwszym rzędzie podczas oglądania spektaklu pod tytułem „I wtedy wszystko pierdo...” – Cassimir nie dokończył, gdyż dopiero teraz spostrzegł, co tak bardzo przykuwało uwagę Josepha.

– Czy to... to, co myślę? – spytał z przerażeniem w głosie Joseph.

– Ten ork... musiał cię zadrapać, dosięgnąć toporem, ale... kiedy?! – Cassimir nie dowierzał własnym oczom. Na lewym udzie Josepha, w miejscu odległym od rany zadanej przez błękitnowłosą dziewczynę, znajdowała się ciemnozielona plama. Wyglądało, jakby rozeszła się od zadrapania tak drobnego, że czarnoskóry zwiastun nie zauważył go w trakcie opatrywania towarzysza.

Plamy tej nie dało się pomylić z niczym innym, była to trucizna orków z plemienia Śmierciotwórców. Szaroskórzy zwali ją sargaan, co oznaczało dosłownie „ostatni pocałunek”. Świat nie znał potężniejszego specyfiku. Śmiertelne były nawet najdrobniejsze zadrapania. Zwiastuni posiadali wrodzoną odporność na toksyny, a ich rany goiły się niezwykle szybko,

ale nawet oni nie mogli walczyć z tą trucizną. W zasadzie spotkanie z nią staowało się dla każdego człowieka wyrokiem śmierci.

– No to się popisałeś, Joseph – wydusił z siebie Cassimir.

Wiedział dobrze, że dla jego towarzysza nie ma nadziei, ale nie zamierzał dopuścić tej prawdy do siebie. Jego pierwszą reakcją było niedowierzanie, potem przyszedł czas na obwinianie Josepha.

– Jak to się stało?! Kiedy? Gdzie miałeś oczy?! – krzyczał starszy zwiastun.

– Co za różnica... Może to i lepiej – wyszeptał Joseph.

– Co?

– Powiedziałem, że może to i lepiej. Co za różnica, czy zginę od trucizny, czy od mrozu. Zawiedliśmy, mistrzu, zawiedliśmy! W katedrze były tylko pytania! Zapomniałeś już, co się dzieje ze światem?!

Cassimir wziął głęboki wdech i powoli wyrecytował spokojnym głosem: „niebieski, żółty, biały”. Ta mantra go uspokajała i pomagała pozbyć się negatywnych emocji. Tym razem musiał powtórzyć ją dodatkowe cztery razy, nim był gotowy odpowiedzieć swemu protegowanemu.

– Nie wiesz tego, Joseph. Wiem, że to, co odkryliśmy w katedrze, tobą wstrząsnęło. Skłamałbym, gdybym powiedział, że mną nie! – zaczął pewniej Cassimir, próbując zachować spokojny ton. – Mamy wiele pytań, na które brak odpowiedzi, a wśród nich: Co dalej? Nie wiesz tego, bracie. Ja też tego nie. I głupotą byłoby zakładać, że przewidzisz plan Stwórcy.

– Jeśli ten plan zakłada wielki mróz, to...

– Pokora, Joseph. Możesz czuć, że Najwyższy Kościół cię oszukał, ale nie zapominaj o pokorze. Pokora jest dobra, bo daje spojrzenie niezamglone własnymi domysłami. Nie wiesz, co się wydarzy. Może zawiedliśmy, a może nie. Nie ma przypadków, Joseph. Po prostu nie ma! Poza, oczywiście, wygraną Carla. Nie mam błędnego pojęcia, jakim cudem wygrał wtedy tamtą partię, ale... odchodzę od tematu. – Cassimir poczuł się jeszcze pewniej, a gdy przypomniał sobie beztróską grę w karty z przyjaciółmi, uśmiechnął się i dodał: – Nic nie wiemy, Joseph. Może poza tym, że jeśli

stwierdzisz, że chcesz umrzeć, to tak się stanie. Nie umieraj. Jesteś piekielnie dobrym zwiastunem. Szkoda cię tracić.

– A ty jesteś piekielnie dobrym mówcą, Cassimir, ale co z tego? Pocałował mnie topór orka, jak widać.

– No to nie ma co czekać. Trzeba do nich dotrzeć.

– Co?

– Dobra, masz rację, trzeba trochę poczekać, aż nabierzesz sił, potem ruszymy.

– Żartujesz, prawda? Chcesz ruszyć do Larush? Nawet zakładając, że jakimś cudem dotrzemy tam, nim zabierze mnie trucizna, to jak porozmawiasz z orkami?

– Użyję czegoś, czego tobie zawsze brakowało, uroku osobistego – odparł Cassimir.

Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, jak absurdalny był to plan, ale nie zamierzał siedzieć beczynnie. Być może szansa na uratowanie Josepha była niewielka, ale skoro istniał choćby cień szansy, to dlaczego mieliby nie zaryzykować?

Po kilku godzinach, gdy lekarstwa i zioła zaczęły działać, stan Josepha ustabilizował się na tyle, by mogli ruszyć w dalszą drogę. Żaden koń nie przeżyłby w Shaelorze, dlatego przybyli tu na piechotę i teraz na piechotę musieli jakoś dostać się tysiące kilometrów dalej do krainy orków, Larush.

Z początku Cassimir miał dobry nastrój, rzucał co chwila żartami na temat obecnej sytuacji, ale z czasem i jego zaczęła dopadać beznadzieja. Shaelor był niebezpieczny nawet podczas podróży o pełni sił, a co dopiero, będąc osłabionym. Ciągłe wspinanie się w górę i schodzenie w dół popielnych wydm potrafiło nie tylko zmęczyć, ale było niesamowicie ryzykowne. Jeden zły krok wystarczył, by zapaść się w piachu i zniknąć głęboko w zasypanym popiołem mieście. By nie dopuścić do takiej sytuacji, Cassimir wykorzystywał swe szkarłatne oko, aby omijać wszelkie niewidoczne dziury. To było jednak małe zwycięstwo, które koniec końców niewiele znaczyło. Joseph musiał co jakiś czas odsapnąć i zażyć błękitny pył, aby poradzić sobie z bólem. Ilość bezpiecznych miejsc w Shaelorze wynosiła

okrągłe zero, dlatego ilekroć się zatrzymywali, narażali się na ogromne tarapaty. Raz Cassimir miał wrażenie, że z mroku nocy coś przygląda się obozowisku zwiastunów rozbitemu na szczycie jakiejś starej baszty. Musiał zatem czuwać aż do poranka, który w Shaelorze wcale nie był wiele jaśniejszy od nocy.

– Jak się trzymasz? Zdechłeś czy dajemy radę? – spytał Josepha.

– Wal się – odparł młodszy templariusz, dając znak życia.

Trzy dni w podróży nie zmieniły zbytnio krajobrazu, który widzieli – popielne wydmy, gruz i czubki miast, które jako jedyne wyrastały nad ziemią. Czasem odczuwali wstrząsy, jakby coś naprawdę wielkiego przekopywało pod nimi tunele. Nie chcąc ryzykować spotkania z tym czymś, przyśpieszali kroku.

Piątego dnia zaczęła kończyć im się woda. Joseph pił jej więcej niż za zwyczaj z racji swego stanu. Cassimir przelewał mu do bukłaka swoją, gdy młody już spał. Wielki Mistrz wiedział, że Joseph nigdy by się nie zgodził na taką pomoc. Cassimir w końcu potrzebował płynów tak samo jak i on.

Szóstego dnia zaczęły się halucynacje. Czarnoskóry zwiastun czasem nie był w stanie odróżnić, co jest prawdą, a co jedynie wytworem jego zmęczonego umysłu. Raz miał wrażenie, że widzi przed sobą wielką jabloń otoczoną pięknymi, żółtymi różami. Innym razem ujrzał armię templariuszy maszerującą ku niebu. Chciał do nich dołączyć, dlatego pobiegł ku nim, przewracając się po drodze o kawałek jakiegoś starego obelisku.

– Obyś biegł tak do jakiegoś źródła... bo jak na nic takie tempo narzuciłeś, to się zdenerwuję – skomentował zdyszany Joseph.

– Po prostu... ja... wydawało mi się, że... nieważne... – odpowiedział zdeorientowany Cassimir.

Siódmego dnia ujrzeni piramidę. Istniała naprawdę. Nad piach wystawał tylko jej kawałek, ale mimo to robiła wrażenie.

Czarną piramidę ustawiono tak, by wschodzące słońce stykało się z jej czubkiem. Konstrukcja była ogromna i nic dziwnego, gdyż w przeszłości pełniła funkcję pałacu i świątyni w centrum Shaelorskiego miasta zasypanego teraz przez popiół i piach. Dopiero gdy znaleźli się nieco bliżej

niej, zauważyli delikatne, szkarłatne zdobienia połyskujące między poszczególnymi cegłami. Liczyli, że w środku znajdują jakąś wodę lub chociaż jakiś jej odpowiednik, może wino, ale po raz kolejny spotkało ich tylko rozczarowanie.

Sytuacja robiła się naprawdę niekorzystna. Cassimir przysiadł na jakiejś starej cegle i wpatrywał się w Josepha zażywającego kolejną porcję błękitnego proszku.

– Zwolnij z tym trochę, bo zaraz ci się krew w błękitną zamieni, a nie przepadam za szlachtą – zażartował dla rozluźnienia atmosfery.

– Za późno.

– Jesteś ze szlachty?

– Myślałem, że wiesz. Nie masz tego w dokumentach? – spytał Joseph, zakładając ponownie swój hełm.

– Nie interesowałem się przeszłością templariuszy.

– A jednak interesujesz się teraz.

– Po prostu mnie zszokowałaś. Nie wyglądasz jak szlachcic. Może jak pucybut szlachcica. Jesteś pewny, że coś ci się nie pomyliło?

Joseph nie odpowiedział. Nie miał ochoty kontynuować tego tematu, a Cassimir nie nalegał. Tak naprawdę nie interesowała go przeszłość towarzysza. Dla Wielkiego Mistrza zwiastun zaczynał swe życie dopiero, gdy rozpoczynał szkolenie na templariusza. Co było wcześniej, nie miało znaczenia. Spytał teraz tylko dlatego, by na chwilę skupić myśli na czymś pozytywniejszym niż wizja powolnej śmierci na zapomnianym przez Stwórcę pustkowiu.

W ciszy przyglądał się wnętrzu piramidy, jej potężnym, zniszczonym już rzeźbom oraz zatartym freskom, które niegdyś musiały wyglądać niczym cud wykreowany człowieczą ręką. Rozpoznawał niektóre z pomników reprezentujące najwyższych przywódców Shaeloru, tych, którzy sprowadzili na świat zagładę. Dumnie sięgali głowami do sufitu, spoglądając na dach piramidy z tęsknotą w oczach, jakby pragnęli wrócić z wojny do dawno już niewidzianego domu. Jeden trzymał przed sobą ogromny miecz, unosząc go wysoko w geście poddaństwa, inny rozpościwał dłonie

na boki, chcąc łapać w nie promienie światła. Pozostałe rzeźby zdążył zniszczyć czas, zasypując je popiołem i piachem.

– Mieli rozmach, trzeba im to przyznać – odezwał się nagle Joseph.

– W zniszczeniu siebie też, jak widać – odpowiedział Cassimir.

– Ta dziewczyna... Naprawdę niczego się o niej nie dowiedziałeś? Nawet z okiem?

Cassimir nieco się zmieszał. Joseph nie wspominał o dziewczynie, odkąd wyruszyli ku Larush, dlatego jego niespodziewane pytanie nieco zbiło go z tropu.

– Próbowałem użyć oka, gdy spałeś, ale niczego się nie dowiedziałem. Wyglądało na to, że tam mieszkała, ale nie wiem, od jak dawna. Nie jestem najlepszy w tę zabawę.

– Zaraza... Gdybym nie był w takim stanie, to może ja...

– Niczego byś nie znalazł. Ta dziewczyna to zagadka – zapewnił go Wielki Mistrz. Zgadzał się ze stwierdzeniem, że Joseph lepiej radził sobie z używaniem szkarłatnego oka, ale znał też ograniczenia zwiastunów, stąd miał pewność, że nawet on nie poradziłby sobie z rozwikłaniem tajemnicy błękitnowłosej.

– Miała przy sobie coś, czego nie rozumiem – kontynuował Cassimir, sięgając do torby. Wyciągnął z niej naszyjnik. Nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, ale mimo prostoty wyglądał niezwykle elegancko. Na łańcuszku wisiał mały medalik, w który wlepiono biały kamyczek przypominający najmniejszy z diamentów.

– To nie jest dzieło ludzi, a już na pewno nie orków – oznajmił Joseph, gdy uważnie zbadał biżuterię. – To wyszło spod elfich rąk.

– Też tak uważam, ale nie zrobiły tego elfy z Airelfell.

– Lemoria? Myślisz, że to dzieło lodowych elfek?

– Dziewczyna miała błękitne włosy, tak jak lodowe elfki z Lemorii. Posiadanie przez nią wisiorka wykonanego w ich stylu nie jest akurat najdziwniejsze w tej całej sytuacji. – Cassimir schował naszyjnik do torby i westchnął, zbierając się do dalszej podróży.

– Czy to możliwe, że za tym wszystkim stoją elfki z Lemorii? Że to one wywołały wieczną zimę? – Joseph wyraźnie uaktywnił się, gdy okazało

się, że jednak Cassimir ma jakiś trop. – I dlaczego nie powiedziałeś o tym wcześniej?

– Bo nie wiem, co to oznacza, co o tym myśleć, a my... mamy teraz ważniejsze sprawy.

– Ważniejsze? Mamy misję! Zapomniałeś już? Jeżeli trop prowadzi do Lemorii, to zostaw mnie tu i pędź tam!

– A kto wtedy będzie moim ponurym głosem rozsądku, co, Joseph? – zażartował Cassimir. – Poza tym, to może być ślepy trop. To za mało, by cokolwiek powiedzieć, a do Lemorii nie można ot tak sobie wejść. Nawet ja to wiem.

– Do Shaeloru ot tak weszliśmy.

– I oto jesteśmy, w starej, zasypanej piramidzie. Ty umierasz, a ja mam ochotę umrzeć, gdy słucham kolejny dzień twojego biadolenia o tym, bym cię tu zostawił. Powiedziałem już, co robimy. Ruszymy do orków. W końcu jeden z nich cię zatruł. To też jakiś trop, czyż nie?

Joseph zażył kolejną dawkę pyłu i ruszył przed siebie, nie mając ochoty na dalsze rozmowy ze swym mistrzem.

Siódmego dnia piramida, którą odwiedzili, wciąż malowała się na horyzoncie za nimi. Pokonanie ruin shaelorskiego miasta okazało się trudniejsze niż zwykły przemarsz po pustkowiu. Co rusz musieli wspinać się po przewróconych ścianach, by dostać się na szczyt jakiegoś dachu, skąd potem powoli schodzili w dół, uważnie stawiając każdy krok. Nie było innych dróg. Każda wymagała w jakimś stopniu wspinaczki i męczenia się z pozostałościami po Shaelorze. Raz musieli nawet wejść przez okno jednej ze starych struktur, by wyjść jej drugą stroną. Chociaż plan wydawał się łatwy, to po wkroczeniu do środka okazało się, że muszą przebić się przez labirynt regałów, wkroczyli bowiem do ogromnej biblioteki, gdzie czarne filary pochłaniały światło padające przez miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się przepiękne witraże. Ostał się tylko jeden, przedstawiający klęczącego mężczyznę w złotej masce.

Poza leżącymi wszędzie księgami, które powoli zamieniały się w proch, znaleźli też całe mnóstwo kości, acz żadnego pełnego szkieletu.

Wyglądało to tak, jakby ktoś zebrał ludzkie szczątki i postanowił zrobić z nich dywan zdobiący tę niegdyś przepiękną bibliotekę.

Nawet przy najbardziej optymistycznym założeniu, że Joseph wytrzymałby kilka miesięcy dzięki swemu nadzwyczajnemu organizmowi, szanse na to, że zwiastunom udałoby się dotrzeć na czas do orków, malały z każdym dniem. Dlatego Cassimir po ominięciu biblioteki, gdy zobaczył w dolinie przed sobą coś nowego, postanowił zaryzykować.

– Jak już gramy, to idźmy na całość – powiedział, po przemierzeniu pustkowia pyłu, kurzu oraz popiołu.

Stanęli przed wystającym ponad piachem szczytem zrujnowanej wieży. Nie była dziełem Shaeloru, w zasadzie nie była nawet dziełem ludzi. Należała niegdyś do krasnoludów i stanowiła jedno z zejść do ich podziemnego królestwa. Nie było szybszej drogi podróżowania aniżeli krasnoludzkimi korytarzami, które pozwalały omijać wszelkie utrudnienia na powierzchni.

– Chyba wolę zdechnąć od trucizny, niż tam schodzić – oznajmił Joseph.

– Nie udawaj, że nie jesteś podekscytowany! Będziesz miał okazję zobaczyć...

– Ruiny. Dużo ruin i śmierci. Łuhu! Nie mogę się doczekać na ten widok! – odparł sarkastycznie młodszy templariusz.

Podziemia zrujnowanego królestwa krasnoludów pod wieloma względami były o wiele bardziej niebezpieczne niż cokolwiek spotykanego na powierzchni, ale jakie mieli opcje? Już kilka dni wcześniej Cassimir zdał sobie sprawę, że nie zdołają pokonać pustkowia normalnymi sposobami. Być może Stwórca, kierując ich kroki ku tej wieży, chciał dać im szansę? Zwiastun chciał w to uwierzyć.

Cassimir przecisnął się przez okno wieży. Tak znalazł się na lekko przysypanych popiołem schodach, którymi ruszył w dół ku głębinom. Co jakiś czas oglądał się za siebie, by mieć pewność, że Joseph za nim podąża. Widział, ile trudu sprawia mu przemieszczanie się, pomimo iż młody zwiastun starał się to ukrywać. Joseph co jakiś czas zatrzymywał się,

ściągał hełm, brał kilka wdechów i dopiero wtedy wracał do marszu. Cassimir zastanawiał się, czy nie pozwolić mu się na sobie oprzeć, ale doszedł do wniosku, że to ostatnie, czego Joseph by sobie życzył. Młody zwiastun był zbyt dumny, by przyjąć pomoc, a Cassimir dobrze to rozumiał. Sam kiedyś był podobny.

Czarnoskóry rycerz kilkakrotnie musiał przeskakiwać nad przepaścią, kiedy to w schodach pojawiała się luka. Podczas jednego ze skoków stopnie, na których wylądował, zapadły się i gdyby nie szybka reakcja Josepha, który chwycił go za rękę, spadłby w ciemności.

– Taki był plan! Chciałem się pozbyć tych schodów! Strasznie niszczyły symetrię tego miejsca! – krzyknął zwisający nad przepaścią templariusz.

– Zwiastun inżynier! Odkrywam cię na nowo, mistrzu! – odparł Joseph, wciągając go na górę.

Skok musiał zostać powtórzony, tym razem nieco dalszy i ostrożniejszy. Teraz się udało, aczkolwiek zaraz po wylądowaniu na drugiej stronie z cienia wyleciał spłoszony kruk.

– Mówiłeś, że w Shaelorze nie ma ptaków – przypomniał Joseph.

– To był jeden ptak. Liczba pojedyncza.

Na szczęście dalsza podróż w dół obyła się bez podobnych niespodzianek i tak po kilkunastu minutach zwiastuni znaleźli się w wielkiej, wydrążonej krasnoludzkimi łapskami jaskini. Przed nimi stały niepozorne żelazne drzwi. Wielkie jak na rozmiary krasnoluda, ale dla człowieka – normalne.

– Kiedyś miałem koszmar, który zaczynał się w ten sposób – powiedział Joseph, sięgając po меч.

– Że stałeś przed krasnoludzkimi drzwiami?

– Że szedłem z tobą w nieznane.

V. Keeva

Wiatr smagał jej twarz, gdy przyglądała się orkom spacerującym po ulicach Łona. Siedziała na parapecie, nie myśląc o niczym. Pozwalała, by jej złote włosy miotaly się wedle uznania wraz z niesfornym kosmykiem. Przyszła tu, jak zawsze rano, z tym samym zamiarem, ale od rozpoczęcia nowej pracy miała dla siebie więcej czasu. Podczas gdy większość niewolnic musiała być gotowa wraz z pierwszymi promieniami słońca, Keeva mogła pozwolić sobie na dodatkową godzinę odpoczynku.

Nie sądziła, że tak błaha rzecz przywróci jej tak wiele energii. Z dnia na dzień stawiała się coraz silniejsza. Na pewno wykonywana przez nią robota też miała w tym swój udział. Nie musiała już spędzać dni na zbiorach ganlicy ani dbaniu o ciężarne orczyce. Stała się osobistą niewolnicą jednej z szamanek.

Szamanka ta zwała się Unira. Ku przerażeniu Keevy wydawała się inna niż reszta orków, co wcale nie podobало się dziewczynie. Przyjemnym uczuciem było wrzucić wszystkich szaroskórych do jednego wora i nienawidzić ich po równo. Pojawienie się w tym gatunku kogoś, kogo zaczynała darzyć sympatią, wywoływało w niej niepokój.

Wciąż nienawidziła tego miejsca i zamieszkującego go ludu, ale... nie nienawidziła szamanki. Unira nie pozwalała jej się przepracowywać, a większość zadań polegała na sprzątaniu pracowni. Dzięki temu życie Keevy stało się znośne i za każdym razem, gdy zdawała sobie z tego sprawę, wzdrygała się, próbując strzepnąć z siebie te myśli. Nie chciała, by było znośne.

Nie chciała się przyzwyczajać do tego stanu rzeczy. Chociaż była niewolnicą dość długo, to mimo oszukiwania samej siebie, wciąż tliła się w niej isierka dawnej Keevy, tchórzliwej Mahalki. Mimo pogardy do tej części swego umysłu wiedziała, że alternatywa jest znacznie gorsza.

Wielokrotnie spotykała wśród niewolnic dziewczyny o pustych spojrzeniach, które całkowicie zaakceptowały to, czym uczynili je orkowicami.

Dlatego Keewa wciąż podświadomie walczyła. Woląca myśleć o sobie jak o tchórzu, który uciekł przed walką, sprzeciwiając się naukom swego ludu, aniżeli stać się pełną własnością tych, którzy lud ten wymordowali.

Jednak z każdym dniem walka ta stawała się coraz trudniejsza. Raz chociażby, gdy przygotowywała szamance kąpiel, ta pozwoliła jej pierwszej wejść do bali z ciepłą wodą. Wydarzenia tego nie potrafiła wyrzucić z głowy. Zetknięcie z ciepłą cieczą po tak długim czasie obcowania ze śniegiem i mrozem było niemal jak namacalne zanurzenie się w czystej wolności. Rozkoszowała się zatem każdą chwilą tego uczucia, uśmiechając się do szamanki z prawdziwą serdecznością. Szamanka wydawała się inna niż reszta orków... a jednak z jakiegoś powodu jej poprzednia służka postanowiła się zabić, wypijając zawartość jednej z orkowych mikstur. Czy Unira traktowała ją gorzej? A może wszystko to było częścią jakiegoś wielkiego planu, który miał uśpić czujność?

Keewa zeszła z parapetu, ubrała się w najcieplejsze odzienie i ruszyła na zewnątrz. Przebiegła ulicami miasta, ignorując pogardliwe spojrzenia orków i dotarła do Domu Wielkiej Matki, gdzie ku swemu zdziwieniu spotkała Unirę. Dlaczego nie czekała na nią w środku?

– No już, warchlę. Pracować trzeba, łapaj to wszystko i taszczaj za mną – powiedziała Unira, pokazując palcem worek obok siebie.

Keewa wykonała polecenie i chociaż worek nie należał do najlżejszych, to zdołała go przenieść we wskazane miejsce.

– Dziś wielki dzień, wielki, największy. Dziś Wielki Wiec, wszystkie plemiona i klany dowędrują tutaj, by Wielkiej Matce stopy całować – mówiła szamanka, przerzucając swoje długie warkocze na plecy. – Wszystko musi być gotowe, więc do reszty warchłat łazaj, co szybko i dziś działaj, co tam ci powiedzą.

Keewa kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, i poprawiła swój niesforne kosmyk złotych włosów, lecz gdy już miała wychodzić z pomieszczenia, Unira chwyciła ją za ramię i odwróciła do siebie.

– Wpierw zjeść coś musisz. Drobną jak noga grzebalca żeś jest. Żryj, co tu mam. – I mówiąc to, szamanka wskazała dziewczynce miejsce przy przegniłym, drewnianym stole, na którym leżało nieco chleba z ganlicy.

– Dziękuję, szamanko – odparła Keeva. Nie musiała udawać wdzięczności, gdyż naprawdę ją czuła. Niewolnice rzadko karmiono do syta, nie mówiąc już o dodatkowych posiłkach.

– Żryj, warchłę, żryj – mówiła Unira. – Siła potrzebna ci będzie.

– Dlaczego... – wydusiła z siebie nagle Keeva, lecz szybko ugryzła się w język. Nigdy nie wdawała się w rozmowy z orkami, bo w zasadzie nie było to wskazane. Jedyłą odpowiedzią, jaką mogli udzielić jej orkowie, było pobicie za odezwanie się bez pozwolenia.

– Czego? Gadaj, co tam język ci taszczał, a nie jak wilk na zwierzynę się zaczajasz.

Keeva przełknęła kawałek chleba i uciekła wzrokiem przed spojrzeniem szamanki, lecz ta uderzyła wtedy pięścią o stół, omal go nie łamiąc.

– Gadaj! – krzyknęła.

– Dlaczego jesteś taka... – zaczęła złotowłosa dziewczynka. Karciała się w myślach za swoje zachowanie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zebrano jej się na rozmowy akurat teraz.

– Jaka? – zapytała Unira, wlepiając wzrok w oko Keevy, z którego wylewał się czarny wodospad w formie tatuażu.

– Nie bijesz mnie... Nie...

– A co mi z łupania cię po czaszce by było? Nic. Siłę w twych oczach wypatrzyć potrafię, a siła szacunek Wielkiej Matki ma. A co Wielka Matka szanuje, ja szanować muszę. Ja tylko jej posłanka, jej gęba i łapy.

Keeva pokiwała głową, a gdy skończyła jeść, spytała, czy może już iść. Jednak Unira ponownie ją zatrzymała.

– Siłę ma się po to, by jej używać. Swojej używaj, o swoje walczyć, warchłę – powiedziała szamanka, a następnie dała niewolnicy kawałek ganlicowego ciasta.

Tak wyposażona Keeva w końcu opuściła komnaty szamanki i ruszyła za stojącym na zewnątrz orkowym strażnikiem. Ten zaprowadził ją na pola z ganlicą obejmujące tarasy kilku zigguratów.

– Keeva! – krzyknęła Maeve, biegnąc ku nowo przybyłej przyjaciółce, ale wtedy orkowy nadzorca zamachnął się swym biczem i uderzył ją z całej siły po plecach.

– Maeve! – Zmartwiona złotowłosa podbiegła do towarzyszki i zasłoniła ją swym ciałem przed kolejnym uderzeniem.

Ork już miał ją zalać gradem ciosów, gdy inny, nieco starszy szaroskóry chwycił jego dłoń.

– Od Uniry to warchlę, nie możesz czachy jej rozłupać – powiedział, odpychając nadzorcę od dziewczyn.

– Nic ci nie jest, Maeve? – zapytała niewolnica szamanki. Pragnęła nakrzyczeć na przyjaciółkę za jej nieodpowiedzialne zachowanie, ale nie miała serca, widząc zbierające się w oczach dziewczyny łzy.

– To nic... nic, futro mnie ochroniło – odpowiedziała Maeve, ale Keeva dobrze wiedziała, że przyjaciółka kłamie. Orkowe uderzenie o takiej sile odczuwało się dotkliwie przez każde odzienie. Sama niejednokrotnie oberwała biczem.

– Maeve, Maeve, musi być ostrożniejsza, Maeve. Głupio biegać tak, a i głupio jęzorem ruszać, a nie zbierać, gdy kazali zbierać! – odezwała się czerwonowłosa Fiann. Jej sposobu mówienia nie dało się pomylić z niczym innym. – Do roboty bierzcie się, szybko, szybko, bo inaczej znowu będzie bicz latał, oj będzie!

Dziewczyny skupiły się na swojej niewdzięcznej pracy. Z pewnością zbieranie ganlicy było najgorszym zadaniem, jakie można było otrzymać, a tego dnia ich praca miała trwać aż do późnej nocy.

– Niewolnice z innych zigguratów wezwali. Wydaje mi się, że wszystkie tu są – odezwała się szaszanka o imieniu Ereel-Karr, ale wszystkie wołały na nią po prostu Ereel, z czym dziewczyna nieudolnie próbowała walczyć, tłumacząc, że Ereel to imię jej ojca, Karr zaś jest jej własnym.

– Ereel ma rację, tak, wszystkie wezwano, wszystkie pracują, coś dużego dzieje się, o! dużego. Bardzo – odpowiedziała Fiann, łamiąc kolejną łodygę ganlicy.

– Podobno wszystkie plemiona mają przybyć. To jakiś... „Wielki Wiec” – wytłumaczyła Keeva, przerzucając złamane łodygi na stojący obok wóz.

– Skąd wiesz? Czyżby nowa pani ci o tym powiedziała? Przyjaźnicie się? – spytała kolejna dziewczyna, Matyllda, jedna z Mahalek o niebieskich tatużach. Na czole miała wytatuowane jakieś runy ze starego, wymarłego języka.

– Nie przyjaźnimy się, po prostu mi powiedziała, że będzie przez to więcej pracy.

– Czyli z tobą rozmawia? – wtrąciła zaskoczona Ereel-Karr.

– Nie... znaczy, tak, ale... nie do końca, ja... – Keeva nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że inne niewolnice patrzą na nią inaczej, odkąd dostała swego rodzaju „awans” i było jej z tego powodu głupio. Naprawdę nie chciała się od nich wyróżniać.

– Słyszałam, że służki szamanek dostają dodatkowe jedzenie – dodała od siebie Matyllda. – Czy to prawda?

– Ja... – Keeva przypomniła sobie o kawałku ciasta, które dostała od Uniry i wyciągnęła je z kieszeni, pokazując reszcie. – Częstujcie się! – dodała radośnie z nadzieją, że koleżanki spojrzą na nią przychylniej, ale efekt by zupełnie odwrotny.

– Czy to... ciasto?! – Maeve nie wierzyła własnym oczom.

– Dostajesz od niej ciasta?! – Matyllda nie kryła swego gniewu. – Co jeszcze dostajesz, orkowy piesku? A może jesteś jej kochanką czy coś?!

– Kochanką-pieskiem – wtrąciła szaszanka. – Nagradzanym za dobre sprawowanie ciastem.

– Nie jestem niczym psem! – ryknęła Keeva.

– Oczywiście, a ciasta i dłuższe spanie dostałaś za dobre sprawowanie! – zaśmiała się Matyllda. – Po prostu przyznaj, że całujesz orków w tyłek i jest ci z tym do...

Matyllda nie dokończyła, ponieważ w jej twarz uderzyła pięść Keevy, która złamała jej nos.

– STARCZY! DOŚĆ! Wszystkie! Wszystkie! Dość, bo ręce połamię! Co wy robicie?! Głupie! GŁUPIE! – Fiann rozdzieliła dziewczyny, nim rzuciły się na siebie na całego. – Chcecie, by orkowie wszystkie nas zabiły? Chcecie? Chcecie? Tak? To chcecie? Wszystkie tu nie na wypoczynku jesteście! Co wy za głupie żarty tu stroicie?! Przepraszać się! Teraz, bo inaczej wszystkie obije!

Wtedy jednak Matylda zacisnęła pięść i rzuciła się na Keevę. Reakcja Fiann była szybsza. Zablokowała uderzenie, chwytając za dłoń Matyldy i... równie szybko ją puściła, wydając z siebie jęk jak przy skaleczeniu.

– Przepraszam, Fiann – powiedziała zmartwiona Matylda, gdy zauważyła, że rana na dłoni towarzyszki jest poważniejsza, niż początkowo zakładała. Wyglądała, jakby coś zdarło jej skórę. – Nie wiem, jak to się stało.

– Twój pierścień... zahaczył, tak, pierścień... pierścień – wytłumaczyła Fiann, pokazując na srebrny pierścień Matyldy. Był to jedyny przedmiot, jaki pozwolono jej zatrzymać. Rzeczywiście z jednej strony był nieco wyszczerbiony.

– Najmocniej przepraszam! – powtórzyła Matylda.

– Ja też przepraszam, Matyldo... – wydusiła cicho Keeva, ale jej oponentka odpowiedziała tylko prychnięciem i zaczęła opatrywać ranę Fiann.

– Czemu to zrobiłaś, Keeva? – spytała Maeve. – Czemu ją uderzyłaś? Przecież...

– Nie mam siły tego tłumaczyć – odpowiedziała zgodnie z prawdą i wróciła do pracy.

Pierwsza przerwa przysła, dopiero gdy słońce całkowicie schowało się za horyzontem. Mniej więcej wtedy też do Łona zaczęli przybywać pierwsi goście. Wywołało to na tyle duże zamieszanie, że pilnujący niewolnice strażnicy gdzieś zniknęli, a one mogły odpocząć nieco dłużej.

– Tutaj! Tutaj chodźcie! – krzyczała Maeve. Dziewczyna wdrapała się na ścianę jednego z zigguratów, skąd miała doskonały widok na miasto.

– Złaż stamtąd, zanim ktoś zobaczy! – rozkazała Keeva. Bała się, że jeśli orkowie przyłapią je na wydłużaniu przerwy, to zleją je wszystkie i o ile

nie miałyby nic przeciwko pobiciu przez nich Matyldy, tak wołała uchronić przed tym małą Maeve.

– Nikt nie zobaczy, wszyscy poszli! Chodźcie! – nawoływała dziewczynka.

– Głupie to, ale co poradzić. Głupie czasem jest ważne! – skomentowała zagadkowo Fiann, wdrapując się do Maeve. Erel-Karr poszła w jej ślady, a za nią wiele innych dziewczyn.

Keeva nie zamierzała być gorsza. Nie chciała być utożsamiana z tchórzostwem, toteż pomimo że uważała cały ten pomysł za niepotrzebne ryzyko, to po chwili już siedziała obok reszty niewolnic na szczycie ściany, obserwując, jak orkowie niczym fala zalewali całą okolicę, pchając naprzód ogromne mamuty, dosiadanym przez czujnych łuczników gotowych zabić każdego obcego, którego wypatrzą.

– Pierwszy raz widzę coś takiego... Jak wiele klanów tu idzie? – spytała przerażona Maeve.

– Pewno wszystkie, tak jak mówiła Keeva – odparła Erel.

Orkowie nie mieli państwa ani jednego władcy. Dzielili się na kilka wielkich plemion, na czele których stały matriarchinie. Plemiona dzieliły się na klany rządzone przez wodzów, a najpotężniejszy z wodzów stawał się oblubieńcem matriarchy.

I tak jako pierwsze do Łona wkroczyło plemię Hakoszczękich oraz wszystkie jego klany. Każdy tak samo dziki, każdy nieobliczalny, o kłach niczym ogromne haki wystające z gęby. Przybyli z mokradeł, ze swego ukrytego domu, obozu „Zzak”, i zabrali ze sobą swe mamuty. Na największym z nich siedziała zakapturzona orczyca o potężnych kłach, obok niej zaś ku niebu wył łysy wódz, do którego zgromadzeni na tarasach wołali „Bakkara”.

Za nimi podążali najlepsi wojownicy, których nosiło Larush. Plemię Krwio pijców z klanem Krwawej Dłoni na przodzie. Wszyscy biali jak śnieg o twarzach przykrytych szkarłatem tatuaży. Mimo swych mięśni wydawali się bardziej ludzcy niż reszta orków. Wyprostowani, dumni, wiecznie szukający walki i chwały.

Trzeci szli Śmierciotwórcy w towarzystwie swych koni. Przewodziła im matriarcha Zyzka i jej wódz Sarakul Zatruta Włócznia z klanu, który stworzył najpotężniejszą truciznę znaną światu. Odurzeni alchemią, zgarbieni, chudzi, ślinili się kwasem przeżerającym skóry nieszczęśników, z którymi się zetknął.

Po nich maszerowali Grotodrażcy szerocy, acz niscy, zakuci w surowe pancerze zrobione ze znalezionej złomu pozostawionej po innych gatunkach. W wielkich łapskach trzymali kolczaste tarcze, chroniąc tych za sobą. Mieszkali pod ziemią, w dawnych krasnoludzkich korytarzach, gdzie za punkt honoru obrali uczynienie się niezniszczalnymi. To dlatego wielu z nich na stałe złączyło się z metalowymi blachami, skleając je ze skórą ogniem.

Ostatnie szły Ptakoluby, a każdy z nich posiadał własnego, skrzydlatego towarzysza. Przybyli z Lodoszczytów, z gór będących nienaturalnymi, lodowymi iglicami wyrastającymi pośrodku Larush. Wśród tego plemienia znajdował się klan Mroźnego Szponu, a na jego czele siedł ten, którego imię niosło się po całym Łonie wraz z okrzykami – „Regash”.

Był to ork o długich warkoczach i gęstej brodzie opadającej na odłożony tors. Na jego ramieniu siedział pokryty zaschniętą krwią biały orzeł.

– Keeva? – Fiann zauważyła, że jej towarzysza ścisnęła dłoń tak mocno, że zacięła się własnymi paznokciami. – Keeva! – powtórzyła, szturchając dziewczynę.

– To on... on i jego orkowie... To oni... – mówiła Keeva, wpatrując się w Regasha. Serce nagle jej przyśpieszyło, a przed oczami stanęły obrazy sprzed kilku lat. Obrazy z dnia, w którym orkowie zabrali jej wszystko, co kiedykolwiek było dla niej ważne.

– Zabiję go – wyszeptała Keeva, chociaż nie zdawała sobie sprawy, że powiedziała swe myśli na głos. – Zarżnę jak psa.

– I ciekawe, jak to zrobisz – wtrąciła Matylida. – Powalisz swoimi mocnymi mięśniami?

– Zamknij się – odpowiedziała wściekle Keeva. Miała ochotę zepchnąć Matylidę ze ściany, ale powstrzymywały ją resztki rozsądku.

– Bo?

– Zamknij się, Matyllda! Zamknij się! Zamknij, powiedziałam! – ryknęła dla odmiany ognistowłosa Fiann.

Orkowe plemiona ciągnęły się po horyzont. Zdawało się nie być im końca. Pomimo że wieczna zima zamroziła świat ludzi, dla orków z pozoru wiele się nie zmieniło. Nie mieli problemu z chłodem, nie odczuwali go tak drastycznie jak inne gatunki, a ich ciała potrzebowały absolutnego minimum energii, by pozostać w formie. To czyniło ich doskonałymi wojownikami, nieustępliwymi i trudnymi do wyępienia.

Przywódcy poszczególnych plemion kierowali swe kroki ku domowi Wielkiej Matki, gdzie czekała na nich naczelna kapłanka, zwana Heroldem. Tuż obok niej stała Unira. Reprezentowały one ostatnie z plemion – Modłonośców. To klany tego plemienia opiekowały się Łonem i jego okolicami.

To, co stało się dalej, zszokowało wszystkie niewolnice. Orkowie z różnych klanów, jeden po drugim, podchodzili ku wielkiemu basenowi przed główną świątynią i po ukłęknięciu ścinano im łby. Nie w ramach kary, a... wyróżnienia. Następnie pozyskiwano z nich jak najwięcej krwi i wylewano ją do basenu, gdzie także wrzucano ciała. W ten sposób życie straciło tysiące orków. Ginełi dopóty, dopóki basen nie zapełnił się krwią.

Dopiero wtedy rozbrzmiały rogi, a ze świątyni wyłoniły się młode orczyce ubrane w ceremonialne, białe szaty. Każda z nich zanurzała się w całości w krwistym basenie, wstrzymując w nim oddech przez dobre dwadzieścia minut. Nie wszystkim się to udało. Jedne wypływały po jakimś czasie martwe na powierzchnię, inne, które się poddały, zabijano na miejscu. Wszystkie szamanki z Łona w tym czasie odprawiały swe modły wokół basenu, gibając się na boki jak drzewa ruszane gwałtownym wiatrem.

Wtedy róg rozbrzmiał ponownie, a z basenu wyłoniły się orczyce, które przeżyły. Całe we krwi uśmiechały się, śmiały, a tłum wiwatował, obwołując je szamankami swego ludu. Ustami Wielkiej Matki.

Następnego dnia Keeva ponownie stanęła na swoim parapecie. W nocy nie zmrużyła oka. Ciągle myślała tylko o tym, że morderca jej rodziny jest tak blisko niej, żywy i bezkarny. Nie mogła się z tym pogodzić. Pragnęła, by cierpiał, został rozerwany na drobne kawałki lub spalony, a zamiast tego przywitano go tu jak bohatera. Gdzie w tym była sprawiedliwość? Gdzie był Stwórca? Dlaczego nie interweniował? Dlaczego pozwalał, by takie potwory chodziły po tym świecie?

– Bezkłowcu! – ryknęła Unira. – Dawno już przy robocie być miałaś. Łazaj tyłek natychmiast!

Keeva zupełnie straciła rachubę czasu i nie przybyła do świątyni zgodnie z harmonogramem, więc Unira przyszła do niej, ale... dlaczego? Jaki orczyca miała interes w tym, by tak interesować się niewolnicą? Przecież była orkiem, przeklętym, brudnym i niegodnym, by żyć w świecie Stwórcy! – myślała dziewczyna, ale nie odważyła się tego przekazać szamance. Nie chciała bardziej jej denerwować.

Tego dnia, tak jak i poprzedniego, na Keewę czekał worek, który musiała przenieść, a potem jeszcze jeden, i kolejny, taki sam. Resztę dnia spędziła, usługując szamance przy jej codziennych czynnościach. Podążała za nią jak cień, nosząc torbę z ziołami. Nie rozumiała nic z przerażających rytuałów wykonywanych przez orczycę, a przy niektórych z nich musiała powstrzymywać wymioty. Stało się tak chociażby, gdy Unira rozciągnęła jelito jakiegoś zwierzęcia na ołtarzu i polizala je wzdłuż, ściskając z dwóch stron.

– Piękna jak zawsze. Wielka Matka chyba jak siebie siebie zdziałała!

Do pomieszczenia wszedł Regash. Serce Keevy się zatrzymało. Świat zwolnił i przekreślił się wokół. Dziewczynka przeciągnęła palce po swoim tatuażu wylewającym się z prawego oka. Dostała go w dzień... gdy nadzedł ten ork i zabrał jej wszystko.

Morderca jej rodziny był tuż obok i jak gdyby nigdy nic, właśnie ją minął. Mogła się na niego rzucić, zaatakować, spróbować szczęścia, spróbować zemścić się za wszystko, co ją spotkało, ale...

Skamieniała. Nie miała odwagi tego zrobić.

– Uważaj na jezor, Regash, bo nikt jak Wielka Matka lica nie ma! Acz prawdziwe jest gadanie, że ona mi tak potężne kły dała! – odpowiedziała szamanka, odwracając się do przybysza. – A skoro o kłach gadam, to twoje coś małe. Większe były dawniej.

W kulturze orków kły miały ogromne znaczenie. Im większe i potężniejsze, tym większy respekt budził ich posiadacz. Kły Regasha nie należały do najmniejszych, ale jeden z nich był pęknięty w połowie.

– Znak po bitwie, co dumą mnie wypełnia. Nie ma tu wstydu, bo nie z tchórzostwa kiel mniejszy jest teraz – odpowiedział Regash, głaszcząc siedzącego na jego ramieniu orła.

Keeva pamiętała dokładnie, w jakich okolicznościach ork stracił część kła. To jej matka mu go skruszyła, gdy skoczyła na niego w ostatniej, desperackiej próbie ataku, dając swojej córce szansę na ucieczkę.

Szansę, którą zmarnowała. Nie zdołała uciec. Została niewolnicą i... tchórzem, który zamiast pomścić matkę, stał skulony z boku, prosząc bóstwa, aby ork już sobie poszedł.

– Czego chcesz? Zajęta jestem. Roboty dużo, a ty tylek zawracasz.

– Z Herold gadałaś? Jest za tym, co mówiłem?

– Herold zajęta jest, tak jak i ja. Na odpowiedź musisz czekać, a nie już ją chcieć.

Regash ryknął wściekle i przewrócił stojącą obok misę, przez co Keeva aż podskoczyła.

– Mam dość czekania! Stara ma gadać, co robimy! Żarcia mniej! Wielu zdycha!

– Tyś głupi jak grzebacz, Regash. We łbie nic nie masz. Herold wie i działa. Wielka Matka nam gada, co robić. Po to szybciej wiec by! Plan jest. Plony zdychać przestaną, ale czekać musisz, a nie ryczeć jak bezkłowiec. Jak warchlę bez trofeum. Zejdź mi ze ślepi, bo od twego gadania aż łeb boli.

Ork ponownie wydał z siebie okrzyk niezadowolenia i zamachnął się na najbliższy mu cel – Keewę, ale nie zdołał jej uderzyć, ponieważ Unira z całej siły zadrapała go paznokciami po twarzy, zdzierając z niej kawalki

skóry. Gdyby nie interwencja szamanki, ork z pewnością zmiażdżyłby dziewczynie czaszkę.

– Nie twoja ona, a moja i Wielkiej Matki! Następnym razem ślepią wydlubię! – zasyczała przez zęby szamanka.

Keeva odprowadziła wzrokiem zdenerwowanego Regasha. Dopiero teraz zaczęło do niej dochodzić, co się wydarzyło. Ork stanął w jej obrobie... W zasadzie to uratował jej życie. Zwykłej niewolnicy.

– W porządku? Nic ci nie jest, warchłę? – spytała zatroskana szamanka.

– Nie... nic – odpowiedziała wciąż wzburzona Keeva, a gdy Unira ją przytuliła, ponownie całkowicie skamieniała.

– Na dziś tyle, do siebie łazaj, ale jutro późno nie bądź, bo kara będzie.

Keeva przytaknęła, odgarnęła swój kosmyk i czym prędzej opuściła pomieszczenie. Miotła nią tak wiele skrajnych emocji, że pragnęła tylko wrócić do swojego pokoju i położyć się na posłaniu. Przez mętlik w głowie nie skupiła się wystarczająco na chodzie, przez co zaraz po opuszczeniu zigguratu potknęła się i wylądowała twarzą w kałuży krwi. Serce ponownie jej przyspieszyło, a oddech stał się trudny do złapania. Pobiegła przed siebie najszybciej, jak potrafiła, jakby uciekała przed niewidzialnym potworem, aż dotarła do pokoju niewolnic.

Przez pierwsze godziny była sama, dopiero z czasem jej towarzyszki zaczęły wracać ze swych obowiązków. Może to przez zmęczenie, a może przez mętlik, ale Keeva nie zauważyła, że Maeve nie było wśród powracających niewolnic, dopiero Fiann zwróciła na to uwagę, pytając:

– Maeve? Ktoś widział Maeve? Gdzie jest Maeve? Wie ktoś? Wie? Wie?

– Nie wróciła z wami? – spytała zaniepokojona Keeva. Wszystkie jej poprzednie myśli i zmartwienia zupełnie zniknęły, zastąpione lekiem o towarzyszkę.

– Miała pracować przy rzeźni, tyle wiem – odpowiedziała Matylda.

– To gdzie jest? Gdzie? Gdzie? Powinna być tu już! Powinna! – dopytywała Fiann.

– Może kazali jej nocować gdzie indziej? – próbowała znaleźć usprawiedliwienie Erel.

– Może... może... – Fiann powtarzała to słowo przez dobrą minutę. Uspokoiła się, dopiero gdy Keeva ją objęła, mówiąc:

– Wszystko w porządku, nic jej nie będzie. Jest silną dziewczyną.

Wszystko to zaowocowało kolejną nieprzespaną nocą dla Keevy. Czuwała w oczekiwaniu, że Maeve nagle wejdzie przez drzwi, ale tak się nie stało, a z każdą kolejną godziną niepokój złotowłosej Mahalki jedynie narastał. Gdy słońce wzeszło, Keeva zeskoczyła ze swego parapetu, związała włosy w kitkę, jak miała w zwyczaju, i pobiegła do Domu Wielkiej Matki. Miała jeszcze trochę czasu do swej służby, ale chciała czym prędzej porozmawiać z Unirą. Może szamanka mogłaby się dowiedzieć czegoś na temat zaginionej Maeve?

Ku zaskoczeniu Keevy, gdy przybyła pod świątynię, czekały na nią znajome worki, które od jakiegoś czasu musiała nosić. W pobliżu nie było jednak szamanki. Dziewczyna zatrzymała się, przełknęła ślinę i kierowana ciekawością postanowiła odwiązać jeden z worków i zajrzeć do środka. Chciała wiedzieć, co takiego Unira kazała jej nosić przez cały ten czas.

Gdy to zrobiła, omal nie zemdląła. W worku znajdowało się ciało jakiegoś niewolnicy. Wyglądało, jakby została uduszona. Jej oczy były wciąż otwarte i tak zeszywniale wpatrywały się w twarz Keevy.

Nie... nie... – powiedziała w myślach do siebie dziewczyna, odwiązując kolejny worek, a potem kolejny, a w każdym znalazła to samo. Gdy odwiązała przedostatni worek, nie wytrzymała i zwymiotowała tuż obok niego.

Następnie padła na kolana i zaczęła płakać, czując, że już tylko na to starczy jej sił.

Spis treści

I. Joseph	5	XV. Cassimir	199
II. Cassimir	16	XVI. Keeva	216
III. Keeva	33	XVII. Joseph	233
IV. Cassimir	45	XVIII. Cassimir	250
V. Keeva	56	XIX. Keeva	261
VI. Joseph	69	XX. Cassimir	273
VII. Keeva	80	XXI. Joseph	283
VIII. Joseph	93	XXII. Keeva	292
IX. Cassimir	106	XXIII. Joseph	308
X. Keeva	121	XXIV. Cassimir	319
XI. Cassimir	136	XXV. Joseph	330
XII. Keeva	146	XXVI. Cassimir	337
XIII. Joseph	165	XXVII. Keeva i... Joseph	342
XIV. Keeva	180	Epilog	349